№ 41 Warszawa, dnia 29 Września (11 Października) roku 1879

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

DZIAŁALNOŚĆ KOBIET

za granicami rodziny.

Prawo obowiązujące i dawne obyczaje a po części wychowanie przeznacza dla kobiety stanowisko podrzędne w społeczeństwie, ograniczając jéj działalność po za granicami życia rodzinnego nawet do bezwłasnowolności. Pomimo to spółczesne warunki ekonomiczne zmuszają kobiety do szukania zarobków po za rodziną, do ofiarowania swéj pracy za wynagrodzenie tym, którzy jéj potrzebują; a więc zmuszoną jest do pewnéj samodzielności indywidualnéj w życiu społeczném; wprawdzie jak dotąd, prawie tylko na polu ekonomicznem. Gdy praca kobiety ograniczała się do rodziny, po za granicę któréj wystąpić jéj nie było wolno, celem dla niéj było utworzenie sobie rodziny i poświęcenie jéj całego swego życia. Wszelkie szersze cele i zamiary dotykały ją o tyle, o ile jéj rodzina przez męzką linię z niemi się łączyła i wpływ jéj na zewnątrz, na życie publiczne, tak moralne jako i ekonomiczne, mógł być tylko pośredni przez mężczyzn z jéj rodziny. Usposobiono téż kobietę odpowiednio jéj przeznaczeniu i celowi jéj życia. Przede wszystkiem należało wychować towarzyszkę dla mężczyzny, ale towarzyszkę podwładną, żeby jedność w rodzinie utrzymać. A więc przyuczano kobiety do pokory, poddania się swemu losowi, cierpliwości, posłuszeństwa, do wyrzeczenia się własnéj woli, samodzielnego sądu, a tem bardziéj samodzielnego działania. Uczono ją robót ręcznych i gospodarstwa praktycznie, umiejętności hodowania dzieci uczyła natura i przykład. Umysł pozostawiano odłogiem, nauki dla kobiety zajętéj pracą mechaniczną uważano za niepotrzebne, niewłaściwe a nawet szkodliwe. Ze zmianą warunków społecznych stanowisko kobiety także uległo zmianie. Rodziny nie były już w możności wyżywienia wszystkich swoich kobiet, szczególnie w klasie średniéj, w któréj potrzeby i uczucia rozwinięte i udelikatnione, podniesione zostały do wysokiéj potęgi poczucia swéj godności; środki zaś niedostateczne zmuszały do wysiłków pracy ażeby tym uszlachetniającym potrzebom zadość uczynić a z tego powodu małżeństwa stały się trudniejsze. Dla wielu przeto kobiet, znikała możność utworzenia nowéj rodziny; dla danéj zaś stały się ciężarem i zmuszone były albo ją opuścić albo zarobkiem z pracy dla obcych opłacić swoje utrzymanie. Umiały roboty ręczne, szyć trochę gospodarować, a będąc zaprawione do uległości, cierpliwości i staranności drobiazgowéj mogły zająć się pielęgnowaniem cudzych dzieci. Gospodarowanie w obcym domu stawiało często pracownie w nieprzyjemnym stosunku podwładności względem osób, u których przyjmowały obowiązek nie zawsze umiejących ocenić człowieczeństwo w osobie przez nie płatnéj. Zajęcia przy wychowywaniu obcych dzieci, albo wymagały robót prostych i zbyt uciążliwych dla delikatnie wychowanych, albo wiadomości naukowych i pedagogicznych, które były między kobietami nadzwyczaj rzadkie. Pozostały roboty ręczne i igła; zajęcia takie dozwalały zarobkując pozostawać wśród swoich. Lecz i to źródło musiało się przebrać; z powodu ogromnéj liczby pracownic ilość wyrobów powiększała się, coraz trudniéj było o nabywców, zarobek malał i trzéba było szukać go po za domem. Tak zmuszony zostały kobiety wystąpić jako samodzielne i samowiedne osoby w dziedzinie życia ekonomicznego i społecznego. W przemyśle zaczęły się usposabiać fachowo, w pedagogice i wychowaniu dzieci na umiejętne przewodniczki.

Odpowiednio do tych potrzeb i celów kierunek wychowania, wymagania i obyczaje musiały uledz zmianom. Nie trzeba jednak sądzić, aby ten przewrót odbył się łatwo i odrazu. Teorye, kombinacye jako formuły dadzą się przeprowadzać w myśli i na papierze z całą ścisłością. W życiu zaś wszystko się zlewa, łączy i wzajemny wpływ na siebie wywiera, matematyczne dwa razy dwa nie zawsze bywa życiowem cztery.

Tu, oprócz ścisłego rozumowania i to nie dla każdego w równym stopniu dostępnego, co zależy od wrodzonych zdolności i wyrobienia umysłowego, wchodzą jeszcze jako czynniki zamiłowania lub wstręty, uprzedzenia, przesądy i wszelkiego rodzaju przyzwyczajenia, które ścisłość przekonań i teoretycznych zasad w działalności życiowéj, znakomicie moderują, powstrzymują, a nawet tą działalnością pomimo zasad kierują.

I tak kobieta, przez wieki wychowana i utrzymywana na stanowisku drugorzędném zależności, ze wstrętem odsuwała myśl działalności samodzielnéj, przekładając zawsze pozostawać pod korcem, w ukryciu, po za plecami mężczyzny; niechętnie patrzyły na takie, które przekroczywszy granice dotychczasowego zakresu życia kobiet, śmiało występowały publicznie jako samodzielne osoby. Wraz z męzką społecznością odsuwały się od nich, same nie mogąc wyłamać się od uprzedzeń i przyzwyczajeń zaczerpniętych z przeszłości. Potrzeba zmuszała je do samodzielności, lecz one chociaż czuły ciężar uciskającego położenia, nie mogły się odrazu zdobyć na odwagę wyrobienia w sobie odpowiednich potrzebom przekonań. Pomału jednak konieczność rzucała w życie samodzielne, co raz więcéj pracowni. Żądania usposobienia się odpowiedniego do nowego stanowiska społecznego wzrastały, zakres i obszerność żądań powiększały się, natrafiając na zacięty opór ze strony nauki, obyczajów i praw. Walka ta, jest jednym z najważniejszych pojawów ruchu w dziedzinie rozwoju praw ludzkich, kiedy się zaczęła i gdzie szukać jéj początku, powiedzieć nie potrafimy. Spotykamy ślady usiłowań na téj dro-

dze współcześnie z najdawniejszemi podaniami związków społecznych. Cywilizacya razem z temi żądaniami postępuje, a historya zaznacza w sferze tych żądań, kroki jéj postępu. Walka ta w zakresie i dążnościach powyżéj oznaczonych przeszła do nas w pojęciu i zasadzie ogólnéj, jako spadek prac cywilizacyjnych ośmnastego wieku. Wśród spółczesnych dziejów zarysowywa się wprowadzeniem w czyn, urzeczywistnieniem w życiu coraz jaśniéj i praktyczniéj rozwijających się żądań i dążności. Przeciwnicy i opór stawicny przez nich wywołują energią, budzą ospałość i obojętność, zmuszają do czujności, wytrwałości, do krytycznego sądu szukając i ujawniając słabe strony i niewłaściwości tych nowych żądań i dążności. Walka ta toczy się dotąd z rozmaitym powodzeniem w rozmaitych miejscowościach.

Na pierwsze jawne wystąpienia żądających wprowadzenia w czyn równouprawnienia kobiety, zawrzało społeczeństwo zgrozą i oburzeniem przeciw nowatorom i nowatorkom, burzycielom porządku dotychczasowego; posypały się potępienia z katedry i trybuny władzy. Wylękli widzieli związki rodzinne rozerwane, społeczeństwo w podstawach swego bytu podminowane i zagrożone rozpadnięciem się w gruzy. Czyż można było dozwolić, ażeby kobieta, ta istota bierna, pokorna towarzyszka, niedozwalająca sobie i nieumiejąca zdobyć się na sąd o poważniejszych przedmiotach, stanęła na równi w prawach z mężczyzną? Toż ona zażądać może sprawy z jego postępków, poważy się je krytykować, a może zerwie się i do czynu. Więc ta królowa rozkoszy i bawidełko której kaprysom jako bezwiednym żądaniom mężczyzna ulegał, dopóki była dla niego ponętną, lub ta służebnica pełniąca swe obowiązki to jest wolę pana mężczyzny, nie mając prawa nawet szemrać, a przed któremi on nie poczuwał się do obowiązków usprawiedliwienia czynów i myśli swoich, ta istota więc fantazyi, uczuć kaprysów, poddaństwa i posłuszeństwa, miała stanąć na równi z mężczyzną, zgłębiać z nim razem tajniki bytu natury i człowieka? On, przed temi dziecinnego umysłu rozkapryszonemi lub zakutemi w posłuszeństwo istotami, ma rozwijać teorye państwowe, społeczne, teologiczne, naukowe, wskazywać istotne pobudki swych czynów, zejść z piedestału wyroczni i wszechwładzcy, stanąć na równi z tym motłochem, który go dotąd otaczał podziwem uwielbienia, zdjąć uroczą purpurę bohaterstwa i stanąć jako prosty zwyczajny człowiek ze słabościami i ułomnościami, przyznać się do błędów i nieudolności i prosić o wyrozumiałość i pobłażenie?

W co się obróci jedność i harmonia społeczna, gdy zasada krytyki i sporu uprawnioną zostanie w rodzinie? Kto będzie rodziną kierował gdy paladium władzy odebrane zostanie mężczyźnie? Prawo obowiązujące; a więc urząd publiczny, a więc trzeba otworzyć najgłębsze tajniki swojego życia pokrywane dotąd zasłoną świętości i nietykalności związku małżeńskiego?

Nauka wymaga pracy, studyów, oddania się jéj zupełnego; któż się zajmie prowadzeniem domu, kuchnią, gospodarstwem, igłą, a co najważniejsze dziećmi, gdy żona i matka rozmiłowawszy się w wiedzy zagłębią się w dociekaniach praw i prawd życiowych i naukowych? Praca naukowa poprowadzi do badania i zastanawiania się nad istotnym związkiem przyczyn i skutków, daje zasadny pogląd na życie i doprowadza do gruntownych i wytrawnych sądów o stosunkach ludzkich. A więc kobieta zgłębiając naukę straci bezwiedną, intuicyjną, uroczą naiwność, a złudzenia z obietnicami nieznanych o pociągającym uroku warunków szczęścia, znikną z jéj wyobraźni, zastąpione zostaną analizą rozumowaną i przepadnie wdzięk świeżości młodocianego serca. Jakżeż się teraz zbroić i jak postępować chcąc takowe podbić? Ta zgrzybiałość z wytrawnym sądem nie da się powodować wybrykom i uniesieniom fantazyi i imaginacyi, ona naprzód bada, rozumuje zanim postanowi i na czyn się zdecyduje, trzeba więc przemawiać do rozumu, a czy można pogodzić uczucie z rozumem?

Umysł analizujący, zastanawiający się nad życiem, nie będzie już umysłem ślepéj, głębokiéj wiary. Autorytet sługi kościoła i obrządki przepisane nie wystarczą, trzeba będzie uciekać się do przekonań, do dowodzeń, a jak tu pogodzić wiarę z analizą? W tych kwestyach analiza posługując się krytyką, może sądzić o wielu rzeczach sądowi niepodległych, może odrzucać to, co z przekonaniami stanie w przeciwieństwie. Jakąż to więc będzie kobieta utraciwszy wiarę? Obrzędy nie będą więcéj dla niéj nienaruszalnym obowiązkiem; rozwiązanie zagadnień życiowych znajdując we własnym umyśle, nie będzie się więcéj uciekać do kościoła o oświecenie na drodze żywota, o wskazanie jéj wyboru w postępkach i zdaniach, o pociechę w przeciwnościach i umartwieniach, zastąpi to sobie własnym sądem a w życiu, będzie krytykującą, zimno rachującą istotą bez pragnień idealnych, bez wiary, nadziei i miłości.

Nauki podają rzeczywistość bez żadnych osłon, trzeba się spotkać z nagą naturą. Bez wstrętów, nie zważając na żadne względy, rozbierać fakta, krajać umysłem lub ręką życie we wszystkich jego przejawach, i przed niczem się nie cofnąć, bo nauka piękno i brzydotę, złe i dobre, pożyteczne i szkodliwe, podciąga pod ogólne rubryki rzeczywistości lub urojenia, to jest nieznanego fałszu lub prawdy; zna tylko jedno zamiłowanie, uczucie miłości prawdy, a wstręt i brzydzenie się fałszem; budzi tylko jedno pragnienie poznania téj prawdy, bezwzględu gdzieby jéj przyszło szukać i ujawnienia takowéj, z gotowością bronienia wszelkiemi siłami nieszczędząc ni siebie ni drugich, bez wszelkich uwzględnień, bo tak jak ruch jest warunkiem wszelkiego badanego życia tak prawda jest matką rodzicielką badającego życia umysłowego. A więc o zgrozo! kobieta ma wystąpić jawnie wyrzekłszy się wszelkich uprzedzeń wstydu, skromności i przyzwoitości towarzyskiéj, ogłaszać publicznie rezultaty swych badań i poszukiwań, nie tając ani źródła zkąd je zaczerpnęła, ani dróg i sposobów których używała, by wyświecić prawdziwy stosunek istotnych przyczyn i rzeczywistych skutków? Stając ze swą prawdą na wysokości wzniesieniu z gotowością przyjmowania i odpierania zarzutów, przyznać się że skromność i przyzwoitość odrzuciła od siebie, dyskutować i rozbierać nagą naturę, o któréj dotąd zdawała się nie wiedzieć, broczyć ręce we krwi, umysł zapuszczać w kałuże moralności, obojętnym wzrokiem ogarniać wstrętne widoki natury i życia ludzkiego?

Zginie więc ten kwiat uroczy, poezya bezwiednego intuicyjnego uczucia, co jako rosa niebieska, jak promień złocisty zesłany wprost z nieba do duszy anioła, skrystalizowany w niéj wiarą roztopiwszy się pod ogniem miłości, wylewa się zaufaniem i poświęceniem siebie dla drogich istot. Urok i ciepło, miłość ogniska domowego zagasi nauka, zostawiając stosunki ściśle oznaczone oparte na wiadomości przyczyn i skutków, celów i środków; musi zgasnąć ognisko gdy taki chłód powieje. A przede wszystkiem ten umysł ruchliwy niezdolne do dłuższego zastanawiania się nad jednym przedmiotem, uprzedzający się, kapryśny, nie nadaje się do głębokich badań, bezstronnych poglądów i wytrwałéj pracy. Filozofia, matematyka, nauki przyrodzone, historya i nauki społeczne, to przedmioty wcałéj obszerności swéj niedostępne dla umysłu kobiety; za szeroki ich obszar za głębokie kombinacye. Można im dać tylko ogólniki jasne i krótkie, zewnętrznéj opisowéj strony dostępnéj dla pojęcia zmysłami i zajęcia fantazyi i imaginacyi, za to sztuki piękne, to jest talenta i poezya, będą najwłaściwszem polem dla rozwijania działalności umysłowéj kobiet.

Uważano także, że nauki stosowane, dające możność zużytkowania wiedzy zastosowaniem jéj w życiu praktyczném, są dla kobiet i niepotrzebne i niemożliwe. Te nauki bowiem wymagają wytrwałości i pracy systematycznéj, zdolności niedostępnéj kobietom. Zajęcia z takich nauk wynikłe są ważnym czynnikiem życia społecznego, od umiejętnego ich pełnienia zależy nieraz los i życie ludzkie, spokojność i dobrobyt społeczny. Wymagają dokładnéj nauki, technicznéj wprawy, szybkiego, wytrawnego i samodzielnego postanowienia i energicznego czynu. Weźmy zajęcie lekarskie, prawne, inżynierskie, rachunkowe, administracyjne, tak kierujący niemi jako i wykonawcy muszą z całą świadomością swoich obowiązków i zaparciem własnych upodobań i osobistych pociągów pełnić te obowiązki. Choćby nieraz serce zabolało, choć się natura wzdrygać będzie, każdy musi zrobić swoje, jeżeli ma być ład, spokój i bezpieczeństwo: cofnąć się, lub niemiły ciężar złożyć na innych niewolno.

(d. c. n.)

DO PRACY.

Do pracy bracia, rzućmy się do pracy,
Bo to jedyne dla nas jeszcze pole,
Od piór uczonych do mularskiéj gracy,
Niech szczera praca wskrzesi dzielną wolę,
Niech nas połączy, jedną spójnią zleje,
Wzniesie moralnie, zrówna, uszlachetni,
Bo ona tylko spełni te nadzieje,
Ktore w nas budzi prąd wieków stuletni.

Kto tedy pragnie błogich dożyć czasów;
Kto chce raz w życiu odetchnąć swobodnie,
Wonią rodzinnych napawać się lasów,
Ten w swym zakresie niech pracuje godnie.
Nie jednak byle na życie zarobić
A z całą siłą, ile ducha stanie,
Naprzód, wciąż naprzód! Potém tylko zdobyć
Możemy szczęście, co z martwych powstanie!

Natalja Krz...

PIENIĄDZE.

KOMEDYA W PIĘCIU AKTACH

PRZEZ **Bulwera,**

z angielskiego przełożona przez M. G.

(Dalszy ciąg).

AKT V.

Scena I.

Sala w *** klubie: Kapitan, Glossmore, inni członkowie.

Glossmore. Czy będą sprzedawać jego konie jak myślisz?

Kapitan. Bardzo być może, piękna stadnina, héj! kelner! szklankę sherry.

Glossmore. Mówią że będzie musiał wyjechać za granicę?

Kapitan. Mój Karolu, to najpiękniejsza pora roku do podróży.

Glossmore. Ma nas wszystkich zapłacić dzisiaj, to wygląda jakoś podejrzanie.

Kapitan. Bardzo podejrzanie, hm, hm!

Glossmore. Mój kochany, musisz wiedzieć szczegóły i chciałbym żebyś mnie objaśnił. Ileś rzeczywiście wygrał? Czy i dom poszedł także?

Kapitan. Dom nie poszedł nigdzie, mogę cię upewnić Karolu, bo dziś rano o w pół do jedenastéj widziałem go w tem samem miejscu co dawniéj, nie ruszył się ani na włos.

(Kelner podaje list Glossmorowi).

Glossmore (czyta). Z Groginhole, depesza. Co to jest? jestem zdumiony! (czyta). W téj chwili, o jedenastéj godzinie, został wybrany pan Evelyn; nikt nie wie jakie są jego opinie polityczne. Będziemy pobici. Konstytucya zgubiona, podpisano p. Cipher. To nikczemnie ze strony Evelyna.

Kapitan. To patrzy na niego.

Glossmore. Nie ma już wątpliwości panie, nie ma wątpliwości.

(Wchodzi Sir John i Blount rozmawiając ze sobą).

Sir John. Mój drogi, nie jestem przecież z kamienia, jestem tylko człowiekiem. Jeżeli Georgiana kocha cię rzeczywiście a pewien jestem że cię kocha, nie myślę wcale poświęcać jéj szczęścia dla światowéj rachuby. Będzie twoją co powiedziałem jéj to właśnie dziś rano.

Blount (na str.). Stary kłamca.

Sir John. Lepszéj jak ona córki nie ma na całym świecie, najposłuszniejsza, prostoduszna dziewczyna. Była jak najstaranniéj chowana a dobra córka zawsze jest dobrą żoną. Przyjdź do nas na obiad o siódméj, a pomówimy o weselu.

Blount. Dobrze; nie stoję co prawda o majątek, ale...

Sir John. Dziesięć tysięcy funtów będą jéj wypłacone jak wiesz.

Blount. I to już wszystko panie? Prawdziwie, ja...

Sir John. Zestawię przecież wam wszystko com uzbierał. Ty wiesz że jestem dokładny w interesach. Skąpy Jack, jak mnie nazywają, wie że majątek stanowi o wartości człowieka.

Kapitan. A im większy majątek kto posiada, tym godniejszym staje się człowiekiem, mój Jasiu.

(Wychodzi).

(Wchodzi Stout ocierając czoło z potu i bierze Sir Johna na str.).

Stout. Sir Johnie zostaliśmy wyprowadzeni w pole. Mój sekretarz jest bratem pierwszego komisanta od Flasha: Evelyn nie miał nawet 300 funtów umieszczonych u niego.

Sir John. Co ty mówisz? Boże! zlituj się nad nami, jakżeś mnie przeraził. Więc... kapitan, zajęcie rzeczy, przegrane... oh! to nie może być.

Stout. Co do Kapitana, ten zrobi wszystko co zechcesz. Cała gra na tem polega, Kapitan już mnie wyprowadził w pole, bo nim się dzisiejszy dzień skończy, Evelyn będzie członkiem parlamentu z Groginhole. Miałem telegram od Popkinsa; jest w rozpaczy; nie o siebie mu idzie ale o Anglią. Sir Johnie, co się z Anglią stanie?

Sir John. Ale jaki mógł mieć cel Evelyn?

Stout. Cel! Czy można obrachować cele tak dziwacznego jak on stworzenia? Człowiek który nie ma żadnych politycznych zasad. Cel. A może chciał w ten sposób zerwać małżeństwo z pańską córką? Pilnuj się Sir Johnie, albo Groginhole z rąk ci się wysunie.

Sir John. Aha! zaczynam domyślać się zasadzki. Ale jeszcze nie jest zapóźno na ratunek.

Stout. Życzliwość moja dla Popkinsa skłoniła mnie do pójścia do lorda dawnego właściciela Groginhole. Powiedziałem mu że Evelyn nie jest w stanie wypłacić mu reszty należności, a on powiedział mi...

Sir John. Co powiedział?

Stout. Że Sharp właśnie mu tę resztę wypłacił. Nadzieja dla Popkinsa już stracona. Anglia będzie kiedyś opłakiwać dzień dzisiejszy.

Sir John. Georgiana pożyczy mu pieniędzy, ja mu pożyczę, cały mój dom mu pożyczę, czuję na nowo co to jest być teściem. (na str.) Ale powoli muszę być ostrożny. Może Stout z nim się zmówił, może to podstęp? Niebardzo to prawdopodobne. Pojadę najpierw sam do lorda. Sir Fryderyku, daruj mi, nie możesz być dziś u nas na obiedzie. Z drugiéj strony, widzę że byłoby nieszlachetnie porzucić biednego Evelyna w takiéj ciężkiéj chwili. Nie mogę pomyśléć nawet o tem, mój drogi, nie mogę pomyśléć o tem. Będę się uważał za bardzo szczęśliwego, mając ciebie za przyjaciela. Kelner! mój powóz. Hm! zachciało im się wyprowadzić w pole skąpego Jacka? Ach! wcale niezły żart, doprawdy.

(Wychodzi).

Blount. Panie Stout, coś pan powiedział Sir Johnowi? Coś przeciwko mnie, przeciw mojemu charakterowi; wiem żeś powiedział, nie zapieraj się. Panie, żądam satysfakcyi.

Stout. Satysfakcyi, Sir Fryderyku? Jak gdyby stronnik postępu i oświaty mógł znaleźć jaką satysfakcyą w pojedynku? Nie wymieniliśmy nawet pańskiego nazwiska; mówiliśmy o Evelynie. Pomyśl pan tylko co za nowina. Evelyn niewięcéj zrujnowany jak pan lub ja.

Blount. Niezrujnowany... Acha! teraz rozumiem! Tak to! tak! Poczekaj no, niech pomyślę, za chwilę zobaczę się z nią na skwerze. (spogląda na zegarek).

Stout. Muszę iść na posiedzenie rady parafialnéj.

Blount. W samą porę. Dziesięć tysięcy funtów. Do licha krew się we mnie burzy; nie pozwolę się tak traktować choćby stary był nie raz ale pięćdziesiąt razy skąpym Jackiem.

(Wychodzi).

Scena II.

Salon w domu Sir Johna Vesey.

Lady Franklin, Graves.

Graves. Pewny jestem że biedny Evelyn zawsze zakochany w Klarze, ale nie możesz mnie pani przekonać żeby ona równe dla niego miała uczucie.

Lady Franklin. A jednak jest w rozpaczy od czasu jego niepowodzeń. Wiem że oddałaby chętnie wszystko co ma żeby go ochronić od skutków jego szaleństw.

Graves (przez pół do siebie). Oddałaby mu tylko jego własne pieniądze gdyby to zrobiła. Radbym bardzo wybadać ją w téj chwili.

Lady Franklin (dzwoniąc). Możesz to pan łatwo uczynić. Co do mnie to powiem że tak ją kocham, że mogłabym darować pańskiemu przyjacielowi wszystko, prócz tego jednego że oświadczył się o Georgianę. (wchodzi służący) Gdzie są panny?

Służący. Mis Vesey jest, o ile mi się zdaje, na skwerze: Miss Klara tylko co wróciła.

Lady Franklin. Jakto! wychodziła razem z Miss Vesey?

Służący. Nie milady; odprowadziłem ją do bankiera Drummonda.

Lady Franklin. Do Drummonda. (wchodzi Klara). Moje dziecko, cóż u Boga mogłaś robić u Drummonda o téj godzinie?

Klara (z pomieszaniem). Ja... ja... ach! pan Graves. Jakże się ma pan Evelyn? Jakże znosi swoje niepowodzenia?

Graves. Z przerażającym spokojem. Obawiam się że nie wszystko tu (wskazuje na głowę) jest u niego w porządku. W mieście mówią, że musi natychmiast wyjeżdżać za granicę, może nawet jeszcze dziś.

Klara. Za granicę, dziś jeszcze?

Graves. Ale jego wierzyciele będą zapłaceni co do jednego; o to jedno zdaje się być niespokojny, czy Miss Vesey pozostanie mu wierną w nieszczęściu.

Klara. Ach! więc tak bardzo ją kocha?

Graves. Hm! jest to więcéj niż mogę wiedzieć.

Klara. Powiedziała mi wczorajszego wieczora, że Evelyn mówił jéj, że 10,000 funtów wybawiłoby go ze wszystkich kłopotów, wszak taką summę wymienił o ile mi się zdaje?

Graves. Tak; ciągle to utrzymuje. Czy Miss Vesey pożyczy mu?

Lady Franklin (na str.). Jeśli pożyczy nie będę już mogła dobrze trzymać o jéj biednéj matce; bo w takim razie pewną jestem że nie jest córką Sir Johna.

Graves. Jestem przekonany że mój biedny przyjaciel nic nie może się spodziewać po wspaniałomyślności kobiet.

Lady Franklin. Grzecznie! A mężczyźni czy mniéj są chciwi?

Graves. Jednego znam przynajmniej, który odepchnięty dla tego że był ubogi przez kogoś równie jak sam ubogiego, jak tylko nagle doszedł do majątku, podmówił swego prawnika do wymyślenia nieistniejącego kodycylu o którym testatorowi nie śniło się nawet, a którym zapewnił niezależność ukochanéj która nim pogardziła.

Lady Franklin. I nigdy nie powiedział jéj o tem?

Graves. Nigdy! Zdajesz się pani nie dowierzać, miss Klaro? Żegnam panie.

Klara (idąc za nim). Słowo jeszcze, na miłość Boską. Czym dobrze zrozumiała? Ach! jakżem mogła być tak zaślepioną. Jakaż to dobroć z jego strony.

Graves. Pani oceniasz go, a Georgiana go opuszcza. Miss Klaro, on zawsze panią kocha. Zawsze jestem ten sam! Mieszam się w cudze interesa, jak gdyby ludzie warci byli tego.

Klara. Georgiana opuści go. Czy pani tak samo myślisz. (na str.) Ach! więc łatwo odkryje że nie ona ten list pisała.

Lady Franklin. Powiedziała mi wczoraj wieczorem, że już go więcej widzieć nie chce. Trzeba jéj jednak oddać sprawiedliwość, że jest mniéj interesowna niż ojciec o tyle jednak tylko o ile jest do tego zdolna. Kocha innego, nawet będąc zaręczoną z Evelynem widywała się codziennie z Sir Fryderykiem na skwerze.

Klara. Więc jest sam, smutny opuszczony, zrujnowany! A ja, którą obdarzył majątkiem, ja która mu wszystko zawdzięczam, ja którą kochał niegdyś, ja stoję tu bezczynnie i tylko płaczę i wyrzekam. O! Lady Franklin, miéj litość nade mną i nad nim. Jesteśmy obie jego krewnemi, jako kuzynki mamy prawo pomódz mu i pocieszyć. Pozwól mi pani iść do niego, chodźmy.

Lady Franklin. Nie! toby było niewła-

ściwe. Pomyśl coby świat powiedział? Nie, nie mogę na to pozwolić.

Klara. Więc wszyscy go opuszczają? Kiedy tak, pójdę sama.

Lady Franklin. Ty, taka dumna, taka?...

Klara. Dumna? Kiedy on potrzebuje przyjaźni?

Lady Franklin. Sam przecież jest powodem swego nieszczęścia. Grał w karty...

Klara. Czyż możesz pani myśléć teraz o jego błędach? Ja nie mam prawa do tego. Wszystko co mam, wszystko od niego, nigdy tego nawet nie przeczuwałam.

Lady Franklin. Ale jeśli Georgiana zwróciła mu rzeczywiście słowo, jeśli to już zrobiła, co on sobie pomyśli? Może posądzać...

Klara. Cóż innego może pomyśléć nad to, że mam dosyć dla nas obojga i staję po jego stronie! Ale to za piękny sen żeby się miał ziścić. Powiedział mi przecież że mogę go nazywać bratem. Gdzieżby teraz być powinna siostra, jeśli nie przy nim? Ale jednak, ja... drżę... Jeśliby... pomimo wszystkiego... może mnie uznać za zbyt śmiałą. Co świat powie mniejsza o to, ale miałżeby on mną pogardzić?

Lady Franklin. Nie, Klaro, nie. Twoja dusza zbyt czysta żeby zepsuty nawet człowiek mógł źle tłomaczyć twoje postępki. Przeczuwam że to spotkanie sprowadzi wam obojgu szczęście. Nie możesz iść sama, moja obecność usprawiedliwi wszystko. Podaj mi rękę pojedziemy razem.

(Wychodzą).

Scena III.

Pokój w domu Evelyna.

Evelyn (sam).

Jak dotąd, wszystko przechodzi nawet moje oczekiwanie. Kupitana jestem pewny, a udało mi się nawet pokierewać Sharpa według potrzeby, mój wybór będzie się wydawał jako ucieczka z więzienia. Ha, ha! co prawda, nie może to już trwać długo; kilka godzin jeszcze oto wszystko czego żądam; przez ten czas spodziewam się być przynajmniéj, do szczętu zrujnowanym. (wchodzi Graves). No i cóż, Graves, cóż tam mówią ludzie o mnie?

Graves. Wszystko co może być najgorszego.

Evelyn. Trzy dni temu byłem ogólnie szanowany. Dziś rano, budząc się uczułem żem się stał w osobliwszy sposób niegodziwym. Jednak jestem tym samym człowiekiem...

Graves. Hm! jednakowoż gra w karty...

Evelyn. Co znowu! Nie to mi biorą za złe że grałem, ale to że przegrałem. Czy możesz zaprzeczyć że gdybym był zrujnował Kapitana zamiast siebie, każda dłoń uścisnęłaby chętnie moją, każde usta uśmiechałyby się do mnie, winszując mi powodzenia? Człowieku, człowieku! Nie napróżno byłem bogatym i ubogim. Występki i cnoty napisane są w języku którego świat nie rozumie; czyta go w brzydkiem tłomaczeniu, a tłomaczami są: Upadek i Powodzenie! Ty jeden zostałeś niezmieniony.

Graves. Nie mam w tem żadnéj zasługi. Gotów jestem zawsze mieszać łzy moje ze łzami każdego kto płacze. (na str.) Wiem że jestem głupiec, ale na to już nic nie poradzę. Słuchaj Evelyn, lubię cię, jestem bogaty: jeżeli zrobię coś coby cię wyciągnęło z téj pułapki, da mi to możność zrzędzenia przez całe życie. Teraz, już wiesz co chciałem powiedzieć.

Evelyn (wzruszony). Jest jednak pomimo wszystkiego jakaś dobra strona w ludzkiéj naturze. Mój drogi przyjacielu teraz mogę ci się zwierzyć; nie jestem rozrzutnikiem za jakiego mnie macie. Moje straty były udaniem, nie strwoniłem nawet jednomiesięcznego dochodu. (Graves ściska go serdecznie za rękę) Nie, to był tylko manewr dla wypróbowania, czy miłość którą ma mi dać szczęście całego życia, dana była mnie czy mamonie. Teraz domyślasz się, dlaczego żądałem od Georgiany tego jedynego dowodu zaufania i miłości. Jak myslisz, co ona zrobi?

Graves. Czy rozedrze ci serce jeśli odmówi?

Evelyn. Napróżno zapierałbym się że nie kocham Klarę. Ostatnia nasza rozmowa, rozbudziła w sercu mojem dawne uczucie; żeby zdobyć jéj miłość trzeba mi będzie użyć całéj energii jaką posiadam. Cóż jednak ztąd? Nie jestem jednym z tych którzy uważają miłość za szczęście niedające się osiągnąć, którzy nazywają własną słabość siłą przeznaczenia. Wszakto zwykła wymówka każdéj kokiety która zbłądzi, każdego mężczyzny który zdradzi przyjaciela. Nie! serce dane jest dla duszy jako przyjaciel, nie jako zdrajca.

Graves. Do czegoż więc zmierzasz?

Evelyn. Do tego: jeżeli Georgiana zechce jeszcze złączyć los swój z moim, na zbyt trudną próbę wystawić jéj nie mogę, jeżeli się odważy na życie nie ubóstwa i braków wprawdzie, ale skromnéj niezależności: jeśli jednem słowem kocha mnie a nie mój majątek, wymażę zupełnie Klarę z mego serca. Jestem związany z Georgianą, i poniosę do ołtarza silne postanowienie zasłużenia na jéj miłość.

Graves. A jeśli cię odrzuci?

Evelyn (radośnie). Jeśli odrzuci, będę znowu wolnym. A wtedy... wtedy ośmielę się zapytać, bo mogę zapytać bez ubliżenia sobie, czy Klara może wytłomaczyć przeszłość i dać mi na przyszłość nadzieję.

(Wchodzi służący z listem).

Evelyn (przeczytawszy list). Los już rzucony, marzenia pierzchły. Szlachetna dziewczyna. O! Georgiano, będę się starał stać się ciebie godnym.

Graves. Georgiana? Czy podobna?

Evelyn. Co za delikatność prawdziwie kobieca, ile wdzięku w tem co czyni. Jakże fałszywie zwykliśmy sądzić głąb ludzkich serc. Widząc na powierzchni śmiecie, zapominamy że perły mogą być pod spodem ukryte. Nie sądziłem jéj nigdy zdolną do poświęcenia.

Graves. Ani ja.

Evelyn. Byłoby nikczemnością z mojéj strony, przedłużać próbę choćby chwilę dłużéj; napiszę do niéj natychmiast żeby wyprowadzić z błędu to szlachetne serce. (pisze).

Graves. Byłbym dał chętnie tysiąc funtów, żeby ta nicdobrego Klara nadeszła była wcześniéj. Ale to zawsze takie moje szczęście: jeśli chcę żeby się ten człowiek z tą ożenił, ożeni się z pewnością z inną jakby umyślnie żeby mi dokuczyć.

(Evelyn dzwoni, wchodzi służący).

Evelyn. Zanieś ten list natychmiast do Miss Vesey i powiedz że będę tam za godzinę. (służący wychodzi) A teraz, wyrzekłem się już nazawsze Klary. Dla czegóż serce mi się ściska? Czemuż, ach czemuż zamiast patrzéć w przyszłość, powracam do wspomnień tego co było?

Graves. Jesteś więc na nowo związany z Georgianą.

Evelyn. Nieodwołalnie.

Scena IV.

Wchodzi służący, oznajmiając przybycie Lady Franklin i Miss Klary.

Evelyn, Graves.

Lady Franklin. Mój drogi Evelynie, może ci się zdawać dziwném w takiéj chwili jak obecna przyjmować takich jak my gości; ale nie pora teraz na ceremonie. Jesteśmy krewnemi, mówią żeś masz zamiar kraj opuścić, przychodzimy więc żeby cię szczerze zapytać, co możemy zrobić dla ciebie?

Evelyn. Pani... ja...

Lady Franklin. No, no, nie wahaj się nam zaufać. Klara jest dla ciebie mniéj obcą niż ja; twój przyjaciel może zechce poświęcić mi chwilkę czasu. (na str. do Gravesa) Zostawmy ich samych.

Graves. Jesteś pani aniołem, ale przybywasz za późno, jak zwykle wszystko co dobre na tym świecie.

(Wychodzą do pokoju w głębi do którego drzwi zostają uchylone).

Evelyn. Miss Klaro, prawdziwie brak mi słów na podziękowanie za to co pani czynisz dla mnie: to dobroć, to współczucie..

Klara (ze wzruszyniem). Nie mów tego. Dobroć, współczucie! Dowiedziałam się wszystkiego. Mnie to należy mówić o wdzięczności. Jakto, nawet wtedy gdym się tak zraniła, kiedyś sądził żem chciwa i zimna, kiedyś myślał żem tak nikczemna i zaślepiona że nie umiałam się poznać na twojéj wartości; nawet wtedy myślałeś tylko o mojem szczęściu i całéj przyszłości. Tobie winnam wszystko co wyprowadziło biedną sierotę z zależności i ubóstwa. Kiedy słowa twoje były tak gorzkie, jakże szlachetne były czyny. O! Alfredzie, takaż to była twoja zemsta...

Evelyn. Nienależy mi się podziękowanie: zemsta słodką była dla mnie. Czy myślisz że niczem dla mnie była myśl, że obecny jestem ciągle przy tobie choć ty o tem nie wiesz? Że w każdéj rzeczy od najmniejszéj do największéj, którą za złoto nabyć można, w klejnotach które nosiłaś, w sukni w któréj oczom drugich jeszcze piękniejszą się zdawałaś, we wszystkiem co stanowi niewinną radość dla kobiet, ja miałem swoją cząstkę, cień udziału? Że nawet kiedy będziemy rozłączeni na zawsze, kiedy będziesz do innego już należyć, kiedyś w przyszłości, może we własnym domu, słuchając słodkich głosów wołających cię matki imieniem, ilekroć dostatek wywoła uśmiech zadowolenia na twoje usta, ten uśmiech moim będzie, mnie się będzie należał jako dług święty, mnie którego rękę odrzuciłaś, którego miłością pogardziłaś.

Klara. Pogardziłam. Masz dowód teraz, czym tobą pogardziła. Kiedy mówią wszyscy żeś teraz biedny jak wówczas byłeś, ja zapominam o sądzie świata, o mojéj dumie, nawet o tem com sobie winna a pamiętam tylko otwoich nieszczęściach i jestem przy tobie.

Evelyn (na str.). O Boże! dodaj mi siły do zniesienia tego (głośno) Jestże to ten sam głos który wtenczas gdym klęczał u twoich stóp, kiedym błagał o cień nadziei że kiedyś będę cię mógł nazwać moją, jestże to ten sam głos co mi wtedy mówił o mojem ubóstwie, a na zaklęcia i błagania odpowiedział „Nigdy!"

Klara. Bo byłabym niegodną twojéj miłości gdybym cię chciała pogrążyć w nędzy. Posłuchaj mnie Alfredzie. Mój ojciec tak jak ty był biedny, szlachetny; obdarzony tak jak ty rozumem i uczuciem własnéj godności, czuły jak ty na najlżejszy odcień lekceważenia i obelgi. Ożenił się tak jak i ty chciałeś zrobić, ożenił się z kobietą któréj całym posagiem było ubóstwo i troska. Alfredzie, widziałam ten rozum który się dla niego stał przekleństwem, widziałam tę zacność usychającą w rozpaczy, widziałam walki upokorzenia, konanie dumnego człowieka, gorzkie jego życie, śmierć przedwczesną, i słyszałam nad jego martwemi zwłokami jęki i wyrzuty mojéj matki jakie sobie czyniła. Al-

fredzie, powiedz mi teraz, byłażby kobieta którą kochałeś szlachetną i uczciwą, gdyby ci taki los chciała zgotować?

Evelin. Klaro, bylibyśmy wspólnie walczyli.

Klara. Wspólnie walczyli? Nigdy kobieta która kocha prawdziwie, nie złudzi się taką pociechą. W takich małżeństwach żona nie może podzielić ciężaru; to on sam mąż musi myśléć, pracować, zabiegać, cierpiéć, zużywać odwagę w nędznéj walce. Żona niestety nie może jéj podzielić. Może być tylko świadkiem rozpaczy, dlatego to Alfredzie odrzuciłam twoją miłość...

Evelyn. Jednak sądzisz żem teraz równie biedny jak wtedy?

Klara. Ale ja nie jestem biedną; my oboje nie jesteśmy już ubodzy. Z tego majątku, który jest twoją własnością, jeżeli jak słyszę połowa może cię uwolnić od długów, to druga połowa zostaje dla nas. Alfredzie wiem że to niewiele ale to nie jest nędza.

Evelyn. Przestań przestań. Nie wiesz nawet jak mnie udręczasz. Och! czemuż kiedy mogłem jeszcze mieć nadzieję, och! czemuż nie pozwoliłaś mi wtedy walczyć i czekać szczęśliwszéj pory!

Klara. Miałażem zmarnować ci życie dla nadziei nie mającéj się spełnić aż kiedyś w starości, odwrócić cię od odpowiedniejszego wyboru, od lepszego losu, skrępować cię więzami któreby kiedyś, gdyby młodość moja i jéj nędzne zalety przygasły, napoiły były życie twoje żalem i goryczą, skazały na ciągłe a próżne oczekiwanie. Nie, Alfredzie! nawet teraz jeszcze mnie nie znasz.

Evelyn. Nie znam cię. O mój aniele. Piękną twoją duszę niełatwo zrozumiéć sercu pospolitego człowieka. Czemuż te błogosławione słowa nie do doszły mnie pierwéj? Czemuż słyszę to teraz, teraz... kiedy już zapóźno.

Klara. Zapóźno?

Evelyn. Bogactwo. Czemże ono jest dla mnie bez ciebie? Z tobą uznaję jego władzę; uprzedzać każde twoje życzenie, usuwać z twéj drogi każdą chmurkę, oddać ci na rozkazy wszystko co życie ma najpiękniejszego i wtedy, patrząc w twe oczy, czytać w nich skarby serca którychby świat cały pozazdrościł; o! wtedy wartoby było ubiegać się o złoto. Ale niestety! związany jestem honorem, wdzięcznością, wiarą, słowem... związany z inną...

Klara. Z inną? Więc pozostała ci wierną w nieszczęściu? Nie wiedziałam o tem i tak cię zdradziłam. O wstydzie! jakże musisz mną pogardzać w téj chwili. *(d. n.)*

Kronika Paryzka.

Z Literatury Europejskiéj Nowożytnéj.

Poezya Celtycka.

(Dalszy ciąg).

Oto ustępy z utworów Ossiana opisujące rozmowę na grobie walecznego Morara:

Ryno i Alpin.

Ryno.

— Wicher uspokoił się, deszcz przestał padać: dzień ku południowi stał się pogodnym, chmury roz praszają się wśród błękitu niebieskiego i promienie słoneczne oświetlają zielone wzgórza. Wody różowawe spadają z gór strumieniami, przepływając wśród kamieni leżących w dolinie. O strumyku! twój szmer jest przyjemny, ale głos dochodzący do moich uszów jest jeszcze przyjemniejszym: jest to głos Alpina, Alpina syna harmonii opłakującego zmarłych. Głowa jego pochyloną jest pod ciężarem lat, a oczy jego napełnione łzami. O Alpinie! synu harmonii, dlaczego błądzisz samotnie wśród gór milczących? Dlaczego wydajesz dźwięki płaczliwe podobne do świstu wiatru przedzierającego gęsty las, a niekiedy znowu do huku bałwanów uderzających o wybrzeża morskie.

Alpin.

— Moje łzy o Ryno! płyną za zmarłemi, moje piersi śpiewają na cześć mieszkańców mogił. Ty jesteś wielkim wśród gór i pięknym w dolinie; niezadługo jednak na podobieństwo Morara będziesz obalonym. Płaczek pogrzebowy zasiądzie na twoim grobie, góry nie ujrzą cię więcej, a łuk twój nie naciągnięty bez użytku spoczywać będzie w domu.

W biegu twym o Morarze byłeś szybkim jak sarna z gór, strasznym jak meteor ognisty. Twój gniew podobny do uraganu zimowego; twój miecz świecił jak błyskawica na polach wśród czarnéj nocy, a głos twój rozlegał się jak huk gwałtownego potoku po burzy, jak grzmot znajdujący odbicie od powierzchni gór oddalonych. Wielu poległo pod ciosami twego ramienia, spalił ich ogień twego gniewu.

Wracając po skończonéj wojnie twoje czoło było jednak spokojne. Twoja twarz podobna była do słońca przy wracającéj pogodzie, do księżyca wśród ciszy nocnéj, do powierzchni jeziora, nieporuszonéj najmniejszym powiewem wiatru.

Twoje mieszkanie ciasne teraz, miejsce twego pobytu smutne, robiąc trzy kroki oznaczam granicę twéj posiadłości, ty! który niedawno jeszcze byłeś tak wielkim. Cztery kamienie porosłe mchem są jedynym twoim pomnikiem. Drzewo przechowujące zaledwo kilka liści, kilka roślin których łodygi wiatr ze świstem nagina ku ziemi, są jedyną wskazówką dla wzroku łowca, gdzie jest grób potężnego niegdyś Morara. O Morarze! jakże upadłeś nizko. Nie masz matki któraby cię opłakała ani córki któraby wylała za tobą łzy miłości. Ta która ci dała życie umarła, a i córka z Morglanu upadła.

Co to za człowiek opierający się na kiju? Co to za człowiek z głową zbieloną przez wiek, którego oczy poczerwieniały od łez i który drży za każdym krokiem? O Morarze! to twój ojciec, który nie miał innego syna prócz ciebie. Opowiedziano mu czyny spełnione przez ciebie w boju, powiadomiono go o rozproszeniu nieprzyjaciół i o twéj chwale, ale dlaczego nie wspomniano o ranie śmiertelnéj jaką ci zadano. Płacz nieszczęśliwy ojcze Morara, płacz! twój syn nie usłyszy cię więcéj. Sen zmarłych jest spokojnym! Łoże ich wyżłobione we wnętrznościach ziemi jest głębokie! Nie usłyszy więcéj twego głosu, nie obudzi się skoro go przyzwiesz do siebie. Kiedyż nadejdzie ten dzień w którym trzeba będzie ostrzedz śpiącego w grobie, o nadeszłéj chwili przebudzenia!

Żegnam cię o mężu najwaleczniejszy ze wszystkich! Zwycięzco w tylu walkach już cię pole bitwy nie ujrzy więcéj; ciemność lasów nie będzie już rozproszona połyskiem twéj broni. Nie zostawiłeś wprawdzie synu, ale nasze pieśni przechowają twoje nazwisko; w czasach najbardziéj oddalonych będą mówić o tobie, czasy przyszłe usłyszą rozmowy prowadzone z przyszłością najdalszéj przeszłości."

Jakkolwiek tłomaczenie dosłowne każdéj pieśni odbiera jéj wiele wdzięku, i w tego rodzaju utworach proza jest niższą od rymu lub rytmu, pomimo tego przywiedziony ustęp układem swym i sposobem wyrażenia myśli i uczuć napiętnowany jest smutkiem tak głębokim, że ten pomimo woli czytającego, ogarnia jego duszę. Rzewność iest właśnie głównem piętnem utworów Ossiana, ale sposób wyrażenia takowéj jest nadzwyczajnie zręcznym i umiejętnym.

W podanym ustępie opisaną jest najprzód miejscowość, następnie bard opłakujący zgon poległego bohatera. Obok myśli wyrażających boleść stawionym jest opis jego sławy i spełnionych w boju czynów a zrobiwszy wzmiankę o ciasnéj i osamotnionéj mogile, ukazuje nam poważnego starca postępującego zwolna ku kamieniom grobowym, aby tam opłakiwać zgon syna w ciszy i samotności.

Różnorodne te obrazy ożywione są myślami wysokiego nastroju. Ani jedna z elegii napisanych w wiekach starożytnych nie robi podobnego wrażenia, jedynie tylko w pieśniach proroków można dostrzedz jeszcze wznioślejsze przedstawienie smutku i boleści. Bezwątpienia, w utworach pierwotnych mieszkańców gór szkockich, można dostrzedz pewne błędy w układzie, pewną niejasność w myślach a nadto zbyt wielką jednostajność w obrazach i określeniach, zwykłe to są następstwa uroku wykształcenia, pierwotna jednak surowość utworów zawiera w sobie wiele miejsc pięknych, wzniosłych i wzruszających. Dokładne zbadanie zabytków pierwotnej literatury jest wielce nauczającem, siła twórcza nieujęta jeszcze w karby prawideł, objawia się z całą prostotą, ale jednocześnie z energią właściwą młodzieńczemu wiekowi. Podróżny przebywający długo wśród miast bogatych, wśród pól uprawnych i wiosek starannie zabudowanych, z przyjemnością popatrzy na budy dzikich plemion, na lasy dziewicze i szerokie płaszczyzny zarosłe chwastami, jako przedstawiające odwrotną stronę medalu, obrazy przyrody, których nie dotknęła ręka ucywilizowanego człowieka.

Ze wszystkich miejscowości europejskich, Szkocya i Irlandya posiadają niezaprzeczenie najwięcéj danych do wzbudzenia w duszy człowieka różnorodnych myśli i poruszenia jego serca, kolejno smutkiem rzewnym lub przejmującym. Ziemia wyschła i bezbarwna, powietrze ciężkie i mgliste, słońce rozsiewające z pewną oszczędnością tak cieplik jakoteż i światło, wysokie góry rozdzielone wąwozami i rozpadlinami bez dna, śniegi nietopniejące nigdy, lasy nieprzebyte, które wyobraźnia ludu zapełnia istotami urojonemi, wieczna mgła zmieniająca kształt przedmiotów, jeżeli ich nie zakrywa zupełnie przed wzrokiem; wszystkie te szczegóły złożone razem tworzą obrazy smutne i dzikie, które jednak nie są pozbawione pewnego wdzięku, i oddziałują żywo na poetyczną stronę duszy człowieka.

Już nietylko obrazy przyrody, ale i same dogmaty religijne, przyczyniły się do wywołania rzewnych uczuć w sercach mieszkańców. Kaledończycy i w ogóle wszystkie ludy pochodzenia celtyckiego, uważały za podstawę swego wyznania, a nawet instytucyi, wiarę w przyszłe życie. Wedle ich pojęcia pokój był największém dobrem, człowiek jednak nie mógł go używać na ziemi, gdzie jedynie skazany był na ciągłe cierpienie i walkę. Pod wpływem tego pojęcia, narażenie się na największe niebezpieczeństwo było dla nich igraszką, śmierć nie przerażała wcale, ponieważ w przyszłem życiu szczęście niezakłócone żadnym niepokojem, miało być nagrodą położonych zasług i doznanego cierpienia.

W owych czasach poezya spełniając szlachetne swe zadanie była podporą uczuć religijnych i narodowych; zachęcając do cnoty, wzbudzając miłość sławy, a tém samem gotowość [do spełnienia czynów walecznych, będących najprostszym objawem ujawniającéj się idei poświęcania.

Duchy zmarłych, za pośrednictwem bardów, objawiały żyjącym wolę przeznaczenia, dając im jednocześnie wiadomości ze świata niewidzialnego. Tym sposobem pokolenia obecne z dawnemi, złączone były nieprzerwanym węzłem tradycyi, objawianéj w pieśniach tak podczas walki, jako też we wszyst-

kich uroczystościach rodzinnych. Wedle ogólnego przekonania wszelkie objawy przyrody, były następstwem działania duchów różnorodnéj potęgi. Obrazy nawet codziennego żywota, nadane miały piętna właściwe jedynie istotom rozumnym wyższego rzędu.

Poruszenie liści, iskrzenie się ognia, grzmot pioruna, lot i śpiew ptaków, sny i marzenia nocne; nie były wcale w ich oczach zwykłemi objawami bez znaczenia; w potrzebie przywoływali bożka burzy, bożka wiecznego milczenia, bożka posłańca boleści, bożka wiecznéj mgły i t. p.

Umysły ludzkie rozwijające się wśród dzikich obrazów przyrody, pod niebem chmurnem, skłonne były do rozmyślania i smutku, szczególniéj skoro każde zjawisko wielkiego i najmniejszego zakresu, było głosem niewidzialnego świata, zapowiadającym ważne wypadki w niedalekiéj przyszłości.

Przesądy tego rodzaju tak silnie zakorzenione były w wyobrażeniach plemion celtyckich, że nawet religia chrześciańska nie zdołała ich zupełnie wykorzenić. Wiara jednak w nieśmiertelność duszy wprowadzona na drogę właściwą, przechowała w poezyi pierwiastek żywotny, oczyszczony z błędów szpecących go dawniéj.

Przed zakończeniem charakterystyki dotyczącéj utworów dawnych bardów, przytoczymy krótki poemat Ossiana, opisujący śmierć jego syna, który z wielu względów przypomina arcydzieło poety greckiego.

„Dlaczego o synu Alpina poruszyłeś niezagasłe nigdy źródło méj boleści? Dlaczego mnie pytasz o szczegóły śmierci Oskara? Łzy zasłoniły mój wzrok, ale wspomnienie z jedną zawsze potęgą żyje w mem sercu. Czyż zdołam opowiedzieć nieszczęsny zgon bohatera? Książę wojowników Oskarze, o mój synu! czyż cię już więcéj nigdy nie zobaczę!

Oh! on znikł jak księżyc wśród chmur w czasie burzy, jak słońce w swym biegu, skoro chmury wzniosą się ku górze z obszernéj przestrzeni morza, skoro czarna burza owinie wierzchołek skał, Ardannider. A ja na podobieństwo starego dębu z Morwen czuję jak schnę i zamieram. Burza strzaskała me gałęzie, jestem rozbity skrzydłami północnego wichru. Książę wojowników, Oskarze, o synu mój! czyż cię już więcéj nie zobaczę!

Przyjaźń największa łączyła Dermida z Oskarem. Dwójka stawała się jednostką; razem szli do boju; potęgę ich przyjaźni można było porównać z siłą ich mieczy; śmierć postępowała obok nich na polu bitwy; spadali na nieprzyjaciela jak skały odrywające się od wierzchołka gór Ardwen; broń ich pokryta była krwią najwaleczniejszych; wojownicy drżeli słysząc wymówione ich nazwiska. Jeden tylko Dermid mógł wyrównać Oskarowi; jeden tylko Oskar był równym Dermidowi.

Oni w boju zabili potężnego Dorgo, który dotychczas w boju uważanym był za niezwyciężonego. Jego córka była piękną jak poranek, łagodną jak promień księżyca; oczy jej błyszczały jak dwie gwiazdy, oddech przypominał powiew wiosenny, a pierś białością swą śnieg spadły na kołyszące się krzewy. Bohaterowie poznawszy ją ukochali, jeden i drugi chciał ją posiadać lub umrzeć. Ona jednak oddała swe serce Oskarowi, Oskar był jéj ulubieńcem; dziewica zapomniała o przelanéj krwi swego ojca, ukochawszy dłoń która zadała cios śmiertelny jéj życiodawcy.

— Synu Ossiana, rzekł Dermid, kocham tę dziewicę, ale ona tobie oddała swoje serce, a ja otrzymałem ranę nieuleczoną. Chodź, Oskarze, jesteś jedynym moim przyjacielem, przebij pierś moją twoim mieczem, niwecząc tym sposobem moją boleść oddasz mi wielką przysługę.

— O synu Morniego, miecz mój nie będzie nigdy zmaczanym krwią Dermida.

— Któż inny będzie godnym przelać krew moją o Oskarze! Nie chcę aby życie moje było przerwane przez dłoń niegodną, mogę zginąć tylko z ręki Oskara. Pamiętaj tylko aby ciało moje złożonem było do grobu uroczyście i wspaniale, i aby śmierć moja była rozgłośną.

— Dermidzie bierz miecz, użyj broni synu Morniego. Obym zginął wraz z tobą, nie oszczędzaj mnie, niech śmierć zawita do mnie z dłoni Dermida,

Walczyli na pochyłości wzgórz nad brzegiem spadającego potoku; krew ich zarumieniła strumyki leśne, spływając po mchu okrywającym skały. Szlachetny Dermid upadł zwyciężony i zmarł z uśmiechem na ustach.

— Ty zginąłeś synu Morniego i zginąłeś z ręki Oskara. Dermidzie! niezwyciężony w boju czyż w taki sposób miałeś utracić życie.

Oskar wraca do piękności którą ukochał; ona w téj chwili dostrzegła jego smutek:

— Zkąd ta boleść wyryta na twojem obliczu, co za chmura zdołała zawładnąć twoją duszą potężną?

— Pozyskałem sławę z powodu wielkiéj zręczności i siły okazanéj w strzelaniu z łuku o córo Dorgo, a tymczasem jestem na drodze utracenia takowéj.

Tarczę walecznego Gormura, zabitego przeze mnie w boju, zawiesiłem na drzewie na pochyłości góry. Strzelałem do niéj dzień cały, i ani jedna strzała nie zdołała jéj przebić.

— Pozwól synu Ossiana, aby córka Dorgo spróbowała swéj zręczności, ręce moje przyzwyczajone do użycia broni, serce ojca radowało się skoro dostrzegał w tym względzie dowody méj umiejętności.

Ona przybywa; jej kochanek ukrywa się po za tarczą; strzała leci i przebija serce Oskara.

— Niech będzie błogosławionym łuk i ręka, która wypuściła strzałę utkwioną w moich piersiach. Upadam z prawdziwą rozkoszą w objęcia śmierci. Któraż inna jeżeli nie córka Dorgo była godną odebrać życie Oskarowi. O piękna moja złóż ciało moje w ziemi, złóż je obok Dermida.

— Oskarze! w żyłach moich płynie krew, dusza potężnego Dorgo; mogę patrzeć na śmierć bez obawy. Oto środek nieomylny na moje cierpienia.

Mowiąc to przebija śliczną pierś swą mieczem Oskara; upada, drga, i zamiera.

Spoczywają razem na pochyłości góry; nierówny i kołyszący się cień dębu pokrywa ich mogiłę. Miejsce puste i dzikie. Daniele tylko w czasie skwaru południowego wśród ogólnéj ciszy szukają pożywienia gryząc trawę wyrosłą na ich grobach.

(d. n.)

POGADANKA.

Słusznie to powiedział nieoceniony „Ksiądz Biskup Warmiński:“

„Jeźliś pracował w pocie twego czoła,
Wieki cię całe będą błogosławić...“

Mogą bowiem błyszczące dziś gwiazdy, jutro na wieki zagasnąć może na miejsce niebotycznych gór spokojna zalegnąć równina, mógłby na oschłych dnach morza rolnik nowe bruzdy wyorywać, wszystko to byćby mogło, ale rzadko, a nawet nigdy nie zdarza się, aby prawdziwa zasługa nie została uznaną jak zasługuje. Wiecie już o czem chcę gawędzić. Oto z dawna zapowiadana uroczystość Jubilejuszu odbyła się z całą świetnością na jaką tylko zdobyć się mógł starożytny gród Krakusa. Kraj nasz uczcił największego pracownika a najpierwszego z dzisiejszych pisarzy, i żywym współudziałem w tém niezwykłém święcie nagrodził półwiekowe trudy, sercem zapłacił za serce i mozoły ducha...

Na inném już miejscu obszerną wzmianką uczcił *Tygodnik* zasłużonego jubilata, teraz tylko do ogólnéj pieśni pochwalnéj dołącza kilka wyrazów życzenia: wielu jeszcze, wielu lat téj obfitéj pracy, która łącząc wdzięk z pożytkiem, kształciła i kształci nasze pokolenie, a i w późne wieki następne kształcić jeszcze będzie...

. . . .

Słusznie też echa o tym jubileuszu rozbrzmiały w całéj niemal Europie i obiły się o pisma angielskie, francuzkie, włoskie i niemieckie, które o dzielnym pisarzu mniéj lub więcéj obszerne zamieszczają wzmianki, podając krótki przegląd prac i biografię jubilata. Miły to i pocieszający objaw solidarności duchowéj, dlatego téż godziło się zanotować go tutaj.

. . . .

Gdy zasługa i praca tak należny hołd odebrała w Krakowie, u nas, pomimo iż miasto syrenie oddawna słynie z uciech i figlarnéj lekkości, taż sama poważna bogini pracy nie zasypia, a przede wszystkiem, coraz to nowe usiłowania na polu pracy kobiet budzą się i wzrastają.

Zbytecznem byłoby rozwodzić się o potrzebie i pożytku płynącym z jak największego rozpowszechnienia zakładów przemysłowych, dających przytułek poważnéj pracy kobiéty. Świeżo znów powstał jeden z takich zakładów, tym razem jako szkoła otwarty za zezwoleniem władzy przy ulicy Brackiéj (17) przez panią S. Program zakładu tego obejmuje naukę ekonomii domowéj w obszerniejszym zakresie, gospodarstwa wiejskiego i przemysłowego, daléj ogrodnictwa z praktyką doświadczalną, ku któremu to celowi pan Jankowski ofiarował swój ogród pomologiczny, jakoteż naukę pszczolnictwa i jedwabnictwa, oprócz innych jak: kroju, buchalteryi, szmuklerstwa, fryzyerstwa i roboty koronek. Byle wyżéj, byle daléj, a chętnie witamy każdy krok w tym kierunku, który tak korzystnie wpłynąć może na rozbudzenie się przemysłu w naszym kraju; a zarazem przysporzy rąk do usilnéj a umiejętnéj pracy, która jak wiadomo jedynie stanowi o bogactwie i dobrobycie narodów.

. . . .

Przez kilka, a nawet kilkanaście dni po śmierci ś. p. Wóycickiego, szerzyła się w naszych gazetach walka o rozmaite projekta celem przysporzenia, a raczéj zebrania funduszu potrzebnego na wzniesienie pomnika zmarłemu, a zasłużonemu pracownikowi. Postanowiono odczyty, które pewna część naszych publicystów wygłosić przyrzekła. Wierzymy mocno, że ta sprawa i chęci te zacne nie zamarły, ale... jakoś naraz umilkło o nich zupełnie...

Tymczasem, jak się prywatnie dowiadujemy, a o czém też zapewnie wkrótce i dzienniki oznajmią, w pewnem gronie niewiast (jeżeli wolno nam nazwać dziś nasze panie tém zaszczytném dawniéj imieniem) postanowiono uczcić pamięć zmarłego Wóycickiego przez zaproszenie naszych autorek, jak: Deotymy, Aleksandry Marczewskiéj, Orzeszkowéj Elizy, Dobieszewskiéj, Hajoty, Marrené (Morzkowskiéj), Ilnickiéj i innych do dania również prelekcyi publicznych na rzecz pozostałéj po zmarłym rodziny.

Nie zła to myśl przyjścia z pomocą nawet bardzo szlachetna i zacna i życzymy jéj najlepszego powodzenia.

. . . .

Mieliśmy znowu dwa nowe debiuta na scenie naszych stałych teatrów, a między temi jako gość wystąpiła panna H. Marczello, artystka Krakowskiego teatru, który tak zasłużenie szczyci się umiejętnem wychowywaniem i początkowém wyrabianiem przyszłych talentów dramatycznych, że dość przypomnieć tylko Rapackiego, Modrzejewską, Królikowskiego, którzy wszyscy na téj scenie pierwsze swe kroki stawiali. Panna Marczello, nieobca i Warszawie przed kilkoma laty, uczyniła też szalone postępy w Krakowie. Artystka na pierwszy dziś występ obrała znany dramat Oktawiusza Feuilleta „Miłość ubogiego młodzieńca." Trudna rola Henryki znalazła w pannie Marczello bardzo szczęśliwą przedstawicielkę, widzieliśmy w grze jéj bardzo wiele dystynkcyi, bardzo wiele zapału i zalet, ale też niemal tyleż wad. Artystka jest prawdziwą artystką, ma talent i dzielny talent, ma serce młode ogniem płonące, ale też właśnie może za wiele tego ognia, za wiele uczucia wydobywa się z duszy artystki, przez co gra jéj, a szczególniéj wymowa, traci na artystycznem wycieniowaniu, będąc trzymana w nieustannem dramatycznem natężeniu, w ciągłem *forte* a nawet *fortissimo* muzycznem. Przytém i wiele wyrobienia brakuje także ruchom panny Marczello, co tém więcéj uwydatniło się, iż publiczność i krytyka ma jeszcze ciągle w pamięci tak pysznego w tym względzie na każdym kroku estetyka, jakim był Bolesław Ładnowski, który nas niedawno opuścił, bardzo miłe zostawiając wrażenie. W każdym razie panna Marczello była nader sympatycznem zjawiskiem na naszéj scenie, a ten nadmiar zapału wydobywający się ciągle wśród jéj gry, każe się spodziewać, iż myśląca ta artystka przy usilnéj pracy będzie kiedyś w pierwszym szeregu błyszczéć pomiędzy gwiazdami sztuki naszéj dramatycznéj.

Od kilku miesięcy ważyły się losy i sprzeczały z sobą wiadomości o odejściu Królikowskiego. Obecnie pogłoski te stały się faktem i dzielny artysta zamierzył udać się do Pragi, zaczynając tym sposobem tułaczkę na stare lata. Jeżeli, jak głoszą, oszczędność zmusiła do dania odprawy Królikowskiemu godzi się zapytać, czemu tylu innych zbytecznych niemal trutniów utrzymują nasze teatra? Nikt bowiem nie zaprzeczy, że obok znakomitości mogących być ozdobą każdéj sceny, mamy wielu, że się tak trywialnie wyrazimy kołków do niczego nie zdatnych i psujących tylko nascenie całość kreacyi. A tu dla oszczędności poszedł w świat Królikowski.

Oj! smutno!...

. . . .

Wesołego natomiast i bardzo miłego wrażenia doznać można; zaszedłszy w tych dniach na Wystawę Sztuk pięknych i stanąwszy przed kilkoma pięknemi obrazkami. A najprzód obrazek p. Feliksa Brzozowskiego zatytułowany: „Na skraju lasu." Miluchny i zieleniutki ten skraj lasu, na którym rozsiadła się gromadka artystów, mężczyzn i kobiet, zajętych jak się zdaje, szkicowaniem i studyowaniem drzew ozłoconych jaskrawemi promieniami słońca. Wszystko tu ślni, błyszczy się a tak pociąga, tak nęci do siebie, iż z ochotą długą chwilę zatrzymuje się widz na tym „skraju lasu." Zdaje mu się nawet że oddycha miłem, świeżem powietrzem dzięki artyście, któremu można śmiało powinszować kompozycyi i wykonania.

Drugą ze świeżo nadesłanych kompozycyi, nad którą także zatrzymać się warto, jest mały obrazek p. Sz. Buchbindera, zatytułowany „Studya anatomiczne." W izdebce prawdziwie po kawalersku zarzuconéj przeróżnemi rupieciami, siedzi młody medyk pogrążony w nauce; jedną rękę oparł na zimnéj czaszce, a oczy wlepił w roztwartą księgę spoczywającą na kolanach, jakby porównywał tekst księgi z martwym oryginałem. Twarz pełna głębokiéj zadumy mówi, że lada chwilę młodzian bezwiednie pogoni wyobraźnią za wdziękami i kształtami w jakie obleczone były niegdyś te kości, dziś świadczące wymownie o znikomości wszystkiego, co ziemskie. Treść dosyć posępna, w pojęciu i wykonaniu znać zakrój realistyczny, a jednakże całość traktowana z rzadkim wdziękiem i trzymana w granicach estetyki, każe bardzo pochlebnie rokować o przyszłych kompozycyach młodego malarza, który przy pracy z pewnością przyswoi sobie nadal więcéj swobody i miękkości pędzla, czego mu życzyć należy, a czego brakuje mu dziś jeszcze.

P. Jan Rosen, z Paryża, nadesłał „Polowanie par force." Obraz to bardzo chwalebnie świadczący o talencie artysty, który za granicą zdobył już sobie dość wielki rozgłos i uznanie znawców i krytyków. Przepysznie tutaj schwycony krajobraz jesienny, szary, mglisty, bez słońca i prawie bez życia, taki jakim być powinien, jaki jest w naturze w miesiącu listopadzie! Nizkie zarośla jakby powleczone mgłą i wilgocią, wyśmienite psy i konie, pędzel w ogóle wytwornie suwający się po płótnie, słowem, cackiem artystycznem w swoim rodzaju jest obrazek pana Rosena.

Kilka widoków z okolic Rzymu, p. Kaź. Szolca, zasługują ze wszech miar na zachętę ze strony krytyki a na zatrzymanie się widza nad temi szkicami z nad odwiecznego Tybru.

Obok dawniéj nadesłanego obrazu pracowitego artysty pana Walerego Eljasza, przedstawiającego: „Wdarcie się na szczyt Gierlachu", w którym tak pysznie artysta sportretował samego siebie, zawisł teraz bardzo starannie wykonany widok tatrzański: „Dolina kościeliska." Cud ten przyrody górskiéj bardzo zręcznie i z właściwym artyście talentem oddany.

„Bitwa pod Warną" Matejki, zawsze jeszcze skupia obok siebie znaczną gromadkę widzów... podziwiających dzieło mistrza sztuki polskiéj.

Na nieszczęście jest tu także druga „Bitwa pod Warną" pożal się Boże. To też przy téj sposobności trudno nam powstrzymać się od uwagi, iżby zarząd wystawy ściślejszą przedsięwziął kontrolę nad pracami wpuszczanemi na sale wystawy. Prawda, iż nie można i nie należy zniechęcać żadnego z pracowników, owszem nawet pomagać im i ułatwiać trudne początki, lecz znowu gdy Warszawska wystawa Zachęty Sztuk pięknych ma stać się prawdziwą tych sztuk świątynią, nie należy mieszać kalwaryjskich i częstochowskich produkcyi z obrazkami prawdziwego artyzmy, gdyż to bardzo smak psuje i niekorzystnie wpływa na widza przychodzącego napoić oczy „pięknemi" sztukami.

Warszawa ma wszelkie warunki po temu, aby stała się ogniskiem artystycznych pracowników w malarstwie, jak jest dziś bez zaprzeczenia najpierwszem ogniskiem naszego ruchu umysłowego i rzec można, przybytkiem literatury. Ma ona wielu znawców mogących korzystnie wpływać na dobór i kierunek kreacyi istotnie artystycznych, jakoteż i wielu miłośników sztuki, którzy zawsze chętnie przychodzą w pomoc usiłowaniom malarzy, zakupując ich kompozycye, a przez to samo dając im możność prowadzenia dalszych prac już nie o chlebie i wodzie. Artyści też sami kochają to miasto i chętnie garną się pod jego skrzydła, a niejeden z nich przybiega izdala byle odwiedzić tę bujną oazę duchowéj pracy, lub odetchnąć choć na chwilę tém powietrzem przesyconem oświecającą massy i barwiącą jednostki zadrukowaną bibułą.

W ostatnich dniach mieliśmy wizyty dwóch mistrzów: Brandta i Siemiradzkiego, i innych jak dzielnego Ajdukiewicza i bardzo wiele rokującego młodego Pochwalskiego, którego „Chłopcy w kąpieli" tak słuszne tutaj znaleźli uznanie i co główniejsza nabywcę. To też odchodząc żegnali oni nasze miasto słowami: Bądź zdrowa wiecznie młoda życiem a stara gościnnością Warszawo!...

. . . .

Echo w jednym ze swoich numerów pomieściło wiadomość niezmiernie ważną że na targu w Sewerynowie kramy księgarskie robią świetne interesa sprzedażą broszurek niebardzo świetnych pod względem treści, jak: Barbara Ubryk, Tajemnice dworu królowéj Izabeli, Rynaldo Rynalndyni, Wspaniały Kartusz, Niezawodna kabała, Prawdziwy sennik i t. p. Spekulacyjnych tych wydawnictw chwalić nie można a powodzenie ich wielką stanowi naukę. Pominąwszy senniki i kabały, w ważności swéj uznane nietylko pomiędzy ciemnemi warstwami, opowiadania powyższe dlatego się tak podobają i znajdują nabywców, że bawią i zaciekawiają. Dajmy inne z podobnie ponętną treścią, rozwiniętą dramatycznie z dążnością moralną a przestarzałe broszurki wymienione powyżéj przepadną bez śladu. Potrzeba jednak do tego koniecznie... talentu, i dopóki ten nie wystąpi w całéj swéj pełni, wszystkie wychodzące dotąd powiastki moralne treścią, nudne jéj przeprowadzeniem, a nużące wymową kaznodziejską, pomimo wychwalania przez wszystkie pisma peryodyczne, ani czytelników chętnych ani kupujących nie znajdą. Jest to pewnik codziennem stwierdzony doświadczeniem nad którym warto się zastanowić.

Przegląd literacki.

Dawne wychowanie szkolne. Notaty ze zbioru przepisów administracyjnych Królestwa Polskiego przez Jana Zaruskiego. Warszawa 1878.

Autor zawarł w swéj książce wyciągi i dane, przeważnie statystyczne, wyjęte z publikacyi urzędowéj, którą pod nazwą Zbioru przepisów ogłoszono drukiem w latach 1865—1868. Zbiór całkowity obejmuje 67 tomów i stanowi dziś już rzadkość bibliograficzną; chociaż bowiem kompletne egzemplarze są jeszcze do nabycia w Izbie skarbowéj w Warszawie, ale wysoka ich cena, 4 ruble za tom czyli 268 rubli za dzieło kompletne, czyni te materyały mało przystępnemi. Z tego powodu pan Z. wpadł na szczęśliwy pomysł zużytkowania tych mianowicie danych, w wymienionym zbiorze zawartych, które ściągaja się do zakładów naukowych w Królestwie. Zbytecznem byłoby dowodzić, że podobne wiadomości mają wartość historyczną, a także jako ciekawy materyał porównawczy, rzucający światło na liczebny stosunek pomiędzy szkołami i uczącymi się obecnie i dawniéj.

Tytuł książki „*Dawne* wychowanie szkolne" znajduje usprawiedliwienie w tem, że autor większą część swéj pracy poświęca szkołom dawnym; wszelako w ostatnich rozdziałach przytacza dane także i z czasów nowszych, ostatnie z roku 1875, które oczywiście, nie mogły być wyjęte ze wzmiankowanego powyżéj Zbioru, ale z późniejszych źródeł urzędowych.

Początkowe rozdziały, w których mowa o szkołach początkowych w dawnéj Polsce, nie są wprawdzie wszechstronnem i wyczerpującem opracowaniem przedmiotu, ale ze względu, że historya szkół i oświaty w Polsce pozostaje jeszcze do napisania, tymczasowo zaś musimy poprzestawać na rozproszonych ustępach, zawartych w obszerniejszych histo-

ryach literatury i pracach dziejowych i na nielicznych dziełach specyalnych, jak np. Łukaszewicza, z tego względu i w notatkach p. Zaruskiego można spotkać wiele szczegółów, stanowiących cenne przyczynki i zasługujących na rozpowszechnienie. W obec bowiem niektórych utartych komunałów i sądów ogólnikowych, z mętnego nieraz źródła i wątpliwéj wartości, ogół wie u nas bardzo niewiele o dawnych dziejach oświaty krajowéj. Tak np. przywykliśmy wyrazać się pogargliwie o wychowaniu szkolnem wieków średnich i narzekać na obojętność duchowieństwa polskiego na sprawę oświaty krajowéj; a jednak, przeniosłszy się myślą w owe czasy i rozczytując się w szczupłych i nielicznych źródłach, widzimy że u nas nie było gorzéj niż gdzieindziéj. Autor podaje że od roku 1237, na rozkaz arcybiskupa gnieźnieńskiego, przy każdéj parafii musiała być szkółka parafialna i że duchowieństwo łożyło na szkoły własne dochody z dziesięcin. Przytoczone wraz w pierwszym rozdziale wyjątki z przepisów Komisyi Edukacyjnéj z 1783 r., tyczących się szkół początkowych, świadczą że już wtedy, blizko sto lat temu, słynna ta Komisya polecała nauczycielom niemal to wszystko, co dziś uważamy za zdobycie najnowszéj pedagogii, a mianowicie naukę o rzeczach, system poglądowy, ćwiczenia gimnastyczne, połączenie nauki czytania z pismem, wreszcie karność że tak powiemy moralną, opartą na rozumie i łagodności, z wyraźnem wzbronieniem obelżywego traktowania uczniów i kar cielesnych, które były dozwolone jedynie w nadzwyczajnych i ostatecznych wypadkach.

W rozdziale drugim mówi autor o szkołach średnich w dawnéj Polsce. Słuszną jest tu uwaga że już od wieku XIII musiano uczyć w szkołach języka polskiego, gdyż nawet *katechizm* wykładano po polsku. Pod tym względem badaj czy gdziekolwiek w Europie uprawniono do tego stopnia w owych czasach język krajowy.

Następnie zajmuje się autor dość szczegółowo szkołami jezuickiemi i pijarskiemi, podając szczegóły ich urządzeń i plan wykładu nak. Do rzędu wzmiankowanych powyżéj utartych komunałów należy u nas także pomiatanie szkołami jezuickiemi, a jednak, jak to i p. Zaruski przypomina, „Szkoły jezuickie należały do najlepszych w kraju (str. 26). Uczono w nich tego samego i tak samo jak w podobnych szkołach na zachodzie Europy, gdyż organizacya wszystkich szkół jezuickich była na całéj kuli ziemskiéj jednakową. Otóż, o ile słyszeliśmy, ani francuzi ani włosi nie skarżą się; ażeby szkoły jezuickie miały zabić oświatę, sprowadzić upadek nietylko nauk i umysłowości, ale nawet kraju“ i t. d. U nas, jak wiadomo, Bartoszewicz jeden z pierwszych usiłował sprostować owo zdanie ogólnikowe, czyniące z jezuitów kozła ofiarnego, podobnie jak dziś niektórzy za takiegoż kozła obrali sobie „poezyą romantyczną:“ Ostatecznie jezuici uczyli tego, czego powszechnie wówczas uczono i uczyli dobrze; prawdą jest tylko, że za mało uwzględniali język i rzeczy krajowe i że szkół było za mało, bo na całéj przestrzeni Rzeczypospolitéj było ich zaledwie 36 (u autora str. 164).

Ciekawe są wiadomości o mało znanym konwikcie Teatynów w Warszawie, który istniał od r. 1755 do 1783.

Mówi daléj autor o korpusie kadetów w Warszawie i obszernie (zbyt może szczegółowo) o stanie akademickim czyli korporacyi nauczycielskiéj, tak nazwanéj i urządzonéj przez Komisyą Edukacyjną w 1783 r. Następnie przytoczone są ustawy i plany wykładu w szkołach średnich od Komisyi zależnych. Z tych i dziś jeszcze niemało możnaby skorzystać, chociaż były i wady jak np. urząd „moralisty“ ad hoc, którym był nauczyciel nauki moralnéj i prawa, obowiązany zarazem czuwać nad moralnością uczniów, co, jak wiadomo, jest obowiązkiem wszystkich nauczycieli i zwierzchników szkoły. Trudnym byłby także dziś do zastosowania zakaz uczniom wyjeżdżania na jakiebądź święta, nie wyjmując wakacyi. W ogóle ustawom Komisyi Edukacyjnéj poświęca autor znaczną część książki. Pomiędzy innemi, ciekawe tu są przepisy tejże Komisyi względem wychowania dziewcząt: mówi się tam o konieczności przygotowywania dobrych żon i matek, choćby z zaniedbaniem, jeśli inaczéj być nie może, nauki obcych języków i „talentów,“ daléj o obowiązku rodziców, a głównie matek względem córek.

Następnie przechodzi autor do obrazu szkół początkowych za księztwa Warszawskiego; daléj mówi o akademiach i szkołach wyższych, przytacza rozmaite fundacye i zapisy na szkoły w dawnéj Polsce, podaje wykazy i liczby tych szkół; nakoniec podaje niektóre dane i cyfry z lat ostatnich. Z tych danych, szczególniéj od początku bieżącego stólecia dla nas ważnych i ciekawych, przytoczymy tu niektóre, zestawiwszy nieco dogodniéj niż u autora w dwie poniżéj przytoczone tabliczki.

Z epoki dawniéjszéj przytoczymy tylko, że według obliczeń i wniosków autora, za Zygmunta III, około r. 1625, w całéj ówczesnéj Rzeczypospolitéj było około 23,000 uczniów w 55 szkołach średnich i wyższych, co na ówczesną ludność 15 milionową, daje 1 szkołę na 194,227 mieszkańców, a z 1,000 ludności procent uczących się wynosił 1,52! Według dzisiejszych wymagań, to bardzo niewiele, ale, jak na owe czasy, stosunek to nie najgorszy, zwłaszcza że w owych szkołach kształciła się prawie wyłącznie szlachta, a więc jeśli jéj liczbę oznaczymy, co najwyżéj, 2 miliony, to procent uczniów będzie prawie 12 z tysiąca.

Według podobnie przybliżonego rachunku, do szkół początkowych w wieku XVII uczęszczało 24,000 dzieci, ogół więc uczniów wynosił 3,27 z tysiąca. Ważniejsze z danych późniéjszych są następujące.

Tablica I.

W roku	Ludność kraju,	Ilość szkół początk,	Uczących się w szk. p,	Stosunek uczących się do ludności (na 1,000 mieszk, uczących się było:)
1792	7,800,000	9,316	296,400	38
1814	3,800,000	2,089	62,670	16,5
1817	2,723,000	868	27,985	10,25
1829	4,137,000	772	33,096	8
1839	4,137,000	999	57,313	13,8
1848	4,800,000	1,293	—	—
1859	4,800,000	1,183	65,944	13,62
1862	4,930,000	1,165	66,784	13,54
1866	5,350,000	1,753	100,858	19,23
1875	6,200,000	2,671	155,018	25

Tablica II.

W roku	Ilość szkół śred, i wyż,	Uczących się w nich,	Stosunek ucz, się do 1.000 ludności,	Ogólna ilość szkół,	Óg. ilość ucząc, się,	Stosunek do 1,000 ogółu lud.
1792	74	18,846	2,42	9,420	315,246	40
1814	148	9,895	2,6	2,237	63,565	18
1817	137	8,497	3,12	1,005	36,481	13,37
1829	129	13,002	3,14	901	46,098	11,14
1839	166	13,207	3,20	1,166	70,520	16,28
1848	196	—	—	—	—	17,72
1859	254	16,164	3,33	1,437	82,209	16,95
1862	231	17,761	3,60	1,396	84,545	17,14
1866	260	22,617	4,22	2,105	123,475	23,41
1875	241	21,938	3,54	2,912	176,956	28,54

Nakoniec w roku szkolnym 1877|8 ogólna liczba wszystkich zakładów naukowych w Królestwie 3,414.

(d n.)

Zawiadomienie.

Dzielimy się wiadomością że p. Tytus Maleszewski artysta, Malarz w swéj pracowni przy ulicy Wareckiéj Nr. 3 otworzył lekcye zbiorowe dla panien, w liczbie bardzo ograniczonéj, nauki rysunku z natury i malarstwa, mając zaś na celu ułatwienie téj nauki osobom zatrudnionym w dnie powszednie, lekcye udziela w dnie niedzielne od godziny 10 rano do 12 w południe. Cena jest nader przystępna, w tym roku lekcye rozpoczną się z dniem 1-ym Listopada.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytam.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 25 Сентября 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20)

Dodatek.

SZALONE OŻENIENIE.

przez

M. A. Fleming.

przekład z Angielskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

Terry stał przez chwilę jak odurzony, a twarz jego pokryła śmiertelna bladość, z wyjątkiem miejsca które dosięgnęła pięść Eryka.

On także rzucił się na swego przeciwnika, ale powstrzymał się widząc że Eryk pochylił się aby podnieść żonę i wyniósł ją do drugiego pokoju.

Dennison przycisnął czoło rękami, i stał tak przez parę minut staczając z sobą ciężką walkę, po tem oddalił się cicho i wyszedł na ulicę.

Rozdział XXI.

Prawy i wierny aż do śmierci.

Terry udał się na przedmieście Swiętego Honorego do mieszkania lady Dynely. Choroba Izy mogła być śmiertelną, była nią zapewnie; i chciał przygotować matkę Eryka do téj bolesnéj wiadomości, aby nie doszła do niéj nagle.

Zacisnął pomimowolnie zęby i pięści, oczy jego, zwykle tak łagodne, pałały ogniem szalonego gniewu. Uderzenie które odurzyło go i prawie oślepiło na chwilę, paliło mu teraz twarz jak rozżarzone węgle. Dzikie instynkta ukrywające się w sercu każdego człowieka, nawet z najlepszem wychowaniem i wykształceniem, owładnęły teraz całą jego istotą.

Eryk postąpił sobie niegodziwie, nikczemnie, uderzył go, uderzył.. Gdyby potrzebował tylko podnieść palec dla ocalenia życia Eryka, z pewnością nie uczyniłby tego.

Wszedł do lady Dynely i zapytał czy jest u siebie.

„Lady Dynely tylko co wróciła, ale zamierza wyjść powtórnie, powiedział służący, otwierając mu drzwi budoaru, mimo to jednak przyjdzie tu za chwilę.“

Rzeczywiście ukazała się wkrótce, ale drżąca, zmieniona; bledsza jeszcze niż zwykle.

Kiedy weszła, Terry przeniósł się myślą do tego pamiętnego dnia w którym zobaczył ją po raz pierwszy w nędznéj irlandzkiéj chacie, o téj saméj dnia porze, kiedy tam przybyła aby w jego życiu zupełną zaprowadzić zmianę. Czy zmiana ta była dla niego prawdziwie korzystną?

Czy dziś nie byłby szczęśliwszym, gdyby mu była dozwoliła wzrastać bez żadnego wykształcenia, w ubóstwie, wśród téj klasy ludzi z któréj pochodziła jego matka, wśród bagnisk Galwayu?

„Terry, zawołała biegnąc do niego z wyciągniętemi rękami, jakaż to straszna doszła mnie wiadomość. Miałam właśnie udać się do *Wielkiego Hotelu* gdy mi oznajmiono twoje przybycie. Przed pół godziny byłam u lady Clarendon i tam posłyszałam coś o téj strasznéj sprawie. Terry! powiedz mi że to tylko fałszywa pogłoska, powiedz mi że on nie jest tak szalonym, tak złym, tak pozbawionym wszelkich uczuć, aby mógł narażać swoje życie!

A więc słyszała już o tem, pomyślał westchnąwszy głęboko, trzeba więc będzie powiedzieć jéj wszystko.

„O czem mówisz, lady Dynely?

— Jakto! ty nic nie wiesz? O! w takim razie jest to wiadomość fałszywa! Gdyby to była prawda, Eryk nie ukrywałby się z tem przed tobą. Widzę że już do końca życia będę znosić ciężkie udręczenia z powodu tego niedobrego chłopca! Ileż ja cierpię nad jego pogardliwą obojętnością dla biednéj Izy, i nad rażącemi dowodami uwielbienia dla téj nikczemnéj zalotnicy! A! synowie nie mało zmartwienia przynoszą matkom! Terry, będąc u lady Clarendon, dosłyszałam jak powtarzano sobie cicho straszną wiadomość. Kapitan Concressault bawił tam kilka minut, i on to przyniósł ją tam zapewnie, ale to nie może być prawdą...

— Trzeba przyznać że kapitan Concressault umie dotrzymywać tajemnicy, pomyślał Terry. Cóż kapitan powiedział? zapytał głośno.

— Co! skandaliczne historye; zdaje mi się że pękłoby mi serce gdyby to była prawda. Powiedział, że Eryk był z Felicyą na balu maskowym; że tam spotkał się z księciem Venturini który ich śledził; że wybuchła między nimi straszna kłótnia i że Eryk uderzył i rzucił na ziemię księcia. Wiadomość ta sprawiła na wszystkich niemiłe wrażenie, a ja wyjechałam natychmiast aby się przebrać i pośpieszyć do Eryka. Czemu nic nie mówisz, Terry.., O mój Boże! Terry nie powiedz mi że to prawda!

Terry milczał ciągle, siedząc z głową wspartą na ręce, którą przysłaniał miejsce zasinione między oczami.

— Terry, rozkazuję ci... Mów!... powiedz mi czy to prawda.

— Lady Dynely, obawiam się czy tak nie jest w istocie.

Przycisnęła serce rękami i zbladła strasznie.

— Więc Eryk towarzyszył na bal téj nędznicy, podczas gdy żona jego zalewała się łzami, i znieważył księcia Venturini?

— Tak, milady, tak, niestety!

Każde to potwierdzenie kosztowało go wiele i z trudnością wychodziło z ust jego, ale Terry nie umiał kłamać, a zresztą czuł że kłamstwo nie zdałoby się na nic, że powinna dowiedzieć się o wszystkiem.

— Znieważył księcia Venturini, człowieka który wyzywa na pojedynek o byle co, który nie znosi najlżejszéj obrazy! Terry, nie ukrywaj nic przedemną, wymagam tego. Venturini wyzwał Eryka, wszak prawda?

— Przykro mi to, bardzo przykro, że znów muszę powiedzieć: tak.

Zdawało się że w szeroko rozwartych oczach nieszczęśliwéj matki zgasła ostatnia iskierka życia, wszystka krew ustąpiła z twarzy.

— A Eryk, dodała zaledwie dosłyszanym głosem, Eryk...

— Przyjął wyzwanie, milady. Nie ma już sposobu zapobiedz temu, odpowiedział ze smutkiem Terry.

Upadła raczej niż usiadła na stojącą przy niéj sofkę, była tak strasznie zmieniona że Dennison zbliżył się do niéj przestraszony.

— Czy milady słabo? Może kogo zawołać?

Nie miała siły odpowiedzieć, dała mu tylko znak ręką aby pozostał.

— Czekaj, rzekła po niejakim czasie, już... już mi lepiéj. O! Terry, jakież to straszne nieszczęście! Eryk... mój syn... mój syn!...

Ukryła twarz w dłoniach i siedziała tak nieruchoma. Terry nie mógł odgadnąć czy modli się czy płacze. Patrzył na nią zmieszany i niespokojny, nie wiedząc co ma czynić i mówić.

Podniosła nakoniec głowę, oczy jéj były czerwone i zaognione, ale suche.

— Kiedy odbędzie się pojedynek? Powiedz prawdę... Chcę to wiedzieć!

— Jutro rano o wschodzie słońca, odpowiedział przytłumionym głosem.

— I będą się bić na pistolety?

Mówiąc to drżała jak liść.

— Tak milady, na pistolety.

— A! Venturini go zabije! krzyknęła rozpaczliwie zrywając się z kozetki, z twarzą zmienioną do niepoznania. O! widzę to... widzę wszystko! Spotkają się z sobą w jakiemś ustronnem miejscu, o świcie, i mój syn... moje jedyne dziecię... mój Eryk... zostanie... zostanie zamordowanym! O Boże! miéj litość nademną i nad nim!...

Upadła znów na kozetkę miotana konwulsyjnem drżeniem.

— On go zabije... zabije!... Jutro o téj porze syn mój już żyć nie będzie! O! ja tego znieść nie potrafię... ja tego nie zniosę!

Wstała nagle.

— To proste morderstwo! to podłe, rozmyślne morderstwo; nie można tego dopuścić, trzeba temu przeszkodzić!..

Dennison milczał; widok tak strasznéj boleści serce mu rozdzierał, ale cóż on mógł powiedzić, co mógł uczynić?

— Terry, zawołała chwytając jego rękę i wstrząsając nią silnie, czemu nic nie mówisz, czemu nie powiesz mi co mam czynić? O! dla ciebie to obojętne, nic cię to nie obchodzi! Stoisz jak słup przedemną, i powiadasz mi że jutro o wschodzie słońca syn mój ma być zamordowanym. Prosiłam cię abyś się nim opiekował, abyś go chronił od wszelkiego niebezpieczeństwa, przyrzekłeś mi to uroczyście, i jakże to spełniłeś swoje przyrzeczenie! Jesteś tak spokojny i zimny, a jutro,... a! jakże cierpię!... jutro Eryk zostanie zabitym! Idź precz!

Odepchnęła go od siebie z trudną do uwierzenia siłą.

— Jesteś nikczemnym zdrajcą! Przysiągłeś mi i złamałeś przysięgę; byłbyś mógł zapobiedz temu nieszczęściu i nie uczyniłeś tego! Nienawidzę cię, Dennisonie.

— Na miłość Boską! nie mów tak matko! zawołał przygłuszonym głosem.

— Nie nazywaj mnie tak! krzyknęła rozdrażniona do najwyższego stopnia. Chciałabym nie znać cię wcale! Po cóż nie zostawiłam cię tam w Galdway, w téj nędznej chacie. O! byłbyś mógł go ocalić!... byłbyś mógł... i nie chciałeś! Przyszedłeś do mnie i powiadasz że jutro będziesz świadkiem śmierci mojego syna. Ale nie, tak nie będzie!

krzyknęła, pójdę sama do Eryka, pójdę do Venturini'ego, będę go błagać na klęczkach o życie mego dziecka! Książe mnie zna, i zlituje się nademną, zlituje się nad nieszczęśliwą matką.

Przerażenie, boleść, rozpacz, zupełnie prawie pozbawiły ją rozumu. Byłaby wybiegła na ulicę gdyby jéj Terry nie zatrzymał.

— Nie możesz tam pójść, milady. Przez litość zatrzymaj się jeszcze chwilkę; Eryk nie przebaczyłby ci tego nigdy.

— On jutro żyć nie będzie, jeżeli nie pójdę. Puść mnie, Terry! Nie chcesz nic zrobić dla uratowania życia Eryka, twego brata, ale ja nie mogę cię naśladować. Puść mnie!

Zatrzymał ją znowu.

— Zaczekaj chwilę milady.

Coś w wyrazie jego twarzy, i w dźwięku jego głosu zmusiło ją do zatrzymania się, pomimo że zostawała pod wpływem jakiegoś rozpaczliwego obłędu!

Spojrzała na niego uważnie, i teraz dopiero spostrzegła siniak szpecący twarz jego. Odgarnęła mu włosy z czoła aby przyjrzéć się lepiéj.

— Terry, co to znaczy? zawołała.

Purpurowy rumieniec wstydu pokrył mu czoło i twarz całą. Są chwile w życiu, w których działanie władz duszy i umysłu naszego bywa spotęgowane, w których domyślność nasza staje się dziwnie przenikliwą. Nieszczęśliwa kobieta odgadła prawdę.

— Terry, zawołała z przerażeniem, to Eryk jest tego sprawcą.

Nie odpowiedział, nie był w stanie przemówić, jednak domyśliła się wszystkiego.

— Pokłóciliście się i on cię uderzył, ciebie Terry; ale ty mu nie oddałeś.

— Nie, matko, odpowiedział głuchym i ponurym głosem, ja mu nie oddałem; ale nie przypominaj mi o tém! Zaledwie mogłem dziś oprzéć się pokusie. Pozwól mi zapomniéć o tém uderzeniu, jeżeli to być może.

Otoczyła ręką jego szyję i pocałowała oznakę brutalstwa swego syna.

— Przebacz mu, Terry, rzekła, on jest twoim bratem, twoim jedynym bratem i nie wiedział co czyni. Przebacz mu i miej litość nademną! Jesteś poniekąd obowiązanym przeszkodzić temu spotkaniu. On jest dla mnie wszystkim na świecie... Kocham go jak żadna matka nie może kochać więcej; byłam dumną z niego, z jego piękności, talentów i ułożenia. Gdziekolwiek był, zjednywał sobie serca i budził zachwycenie. On jest wszystkiem co mi pozostało, co kiedykolwiek posiadałam. Dręczy mnie często, martwi, ale nie potrafiłabym przeżyć jego straty. Terry... Terry... miej litość nademną, miej litość nad nim! On jeszcze tak młody! życie jego może być tak świetne! Miej litość nad jego żoną którą tak kochasz i jakimbądź sposobem ocal mu życie!

Ręce jéj otaczały ciągle jego szyję, a bladą twarz zalaną łzami wsparła na jego głowie. Z ust jéj wychodziły błagalne słowa natchnione egoizmem miłości macierzyńskiéj; przeczucie jéj mówiło, że tylko Terry Dennison mógłby jeszcze coś uczynić dla uratowania jéj syna.

Terry zdawał się spokojnym, ale straszna walka toczyła się w jego sercu. Przyszedł do Eryka ożywiony najszczerszem przywiązaniem, gotów zająć jego miéjsce, przyjąć cios śmiertelny z ręki Venturini'ego, a jakże Eryk odpłacił mu się za to?

Nikt na świecie dotąd nie poważył się go uderzyć, z pewnością nikt w przyszłości nie odważy się na to. Doznawał obecnie takiego uczucia jakby ogień piekielny trawił jego duszę, a wymagano od niego aby przebaczył Erykowi tak tę ostatnią zniewagę, jak i wszelkie inne których tenże dawniej dopuścił się względem niego bezkarnie; nie dosyć na tém żądano jeszcze aby ocalił mu życie za jakąbądź cenę!

„Terry, rzekła lady Dynely trzymając go ciągle za szyję i patrząc mu w oczy, czy przypominasz sobie ten dzień w którym opowiedziałam ci prawdziwe szczegóły twego urodzenia? Mogłam nie wyznawać ci tego, a jednak wyznałam. Ukląkłeś przedemną a ja uściskałam cię po raz pierwszy. Kochałam cię wtenczas i ciągle już po tem, ale nie tak, o! nie tak jak jego. Czy pamiętasz co ci w tym dniu powiedziałam? Czy przypominasz sobie co mi wówczas przyrzekłeś?

Nie odpowiedział ani słowa.

Z pewnością nie umiałaby sama powiedziéć czego od niego żądała; nie domyślała się jak straszna walka toczy się w jego sercu bijącem tak gwałtownie.

„Ja przypominam sobie wszystko tak dokładnie, jakby się to stało dziś rano, mówiła daléj, Terry, powiedziałam, bądź przyjacielem, bratem mojego syna. On nie podobny do ciebie, o nic się nie troszczy i na nic nie zważa, unosi się łatwo, jest samowolny i gwałtowny. Cokolwiekby mógł powiedzić lub uczynić nie gniewaj się na niego, nie opuszczaj go...

Nie rozumiała tego jak strasznie egoistyczną była jéj prośba; Terry milczał a w oczach jego był jakiś dziwny wyraz który ją przerażał.

— Klęcząc ucałowałeś moją rękę i powiedziałeś te słowa, które nie tylko ja ale i Bóg słyszał także: Cokolwiekby Eryk mógł powiedziéć lub uczynić, przysięgam że gniewać się na niego nie będę, i wszystko co człowiek uczynić może, uczynię chętnie dla twego, matko, i dla jego dobra. Byłaś aniołem mego życia, i byłbym nikczemnym, gdybym kiedykolwiek zapomniał o tém." Przysięgłeś Terry, i teraz powinieneś dotrzymać przysięgi.

On milczał ciągle. A! gdybyż chciał przemówić.. gdybyż nie patrzył na nią tak dziwnym, tak surowym wzrokiem!...

— Terry mój, Terry, szeptała, byłeś zawsze tak zacnym, dobrym, szlachetnym... przez miłość dla mnie i dla niego zrzekłeś się nazwiska, tytułu, majątku, miłości... przez miłość dla mnie i dla niego, błagam cię jakim bądź sposobem ocal mu życie!

Bolesne westchnienie wydarło się z piersi Terrego, jeszcze głębsze utkwił w niej spojrzenie.

Czy wiedziała czego wymagała od niego? nie, widział iż sama nie wiedziała czego pragnie... Ale cóż ją obchodziło jakim sposobem i jaką ceną byle ocalił Eryka?

— Terry, przemów do mnie, prosiła, nie stój tak nieruchomy i milczący i nie patrz tak na mnie. O! jeźliś mnie kochał kiedykolwiek, jeźliś prawdziwie kochał Izę, ocal tego którego życie jest naszem życiem... Terry, błagam cię, zaklinam, ratuj Eryka.

Schylił głowę i uścisnął lady Dynelly.

— Nie mów już o tém, matko, jeźli to nie przechodzi możności człowieka, ocalę Eryka.

Okrzyk radości i nadziei wydarł się z jéj piersi, oparła głowę na ramieniu Terrego i stała tak chwil kilka.

— Bądź spokojna, mówił, Eryk nie będzie się pojedynkować z księciem Venturini... ale za wiele straciliśmy czasu, spiesz milady do Grand-Hotel, Iza jest słaba.

— Iza słaba!

Opowiedział w krótkich słowach swoje widzenie się z Erykiem, pomijając tylko obelżywe słowa lorda Dynely, jak Iza słyszała wszystko i co z tego wynikło.

W każdym innym razie to zachowanie się Eryka byłoby oburzyło lady Danely, obecnie jednak wrażenie silniejsze stłumiło słabsze.

— Dobrze, dobrze, zaraz idę do Izy, biedne dziecko... Terry proszę cię powiedz mi co zamierzasz przedsięwziąść dla ocalenia Eryka.

Uśmiechnął się smutnie.

— Później dowiesz się o tém, milady; teraz tylko niczem nie daj poznać Erykowi że wiész o tém. Aby plan mój mógł się powieść, musisz zadać mu narkotyk.

— Narkotyk?

— Trzeba koniecznie aby przespał godzinę w której ma się odbyć pojedynek, gdyż inaczej choćby nawet Iza umierała pobiegłby na plac boju. Zapewnie uda się wcześnie na spoczynek aby sen uspokoił jego rozdrażnienie, otóż trzeba żeby jutro rano zaspał i obudził się późno. Gdy będzie szedł do swego pokoju, musisz w winie lub herbacie zadać mu narkotyk sprowadzający sen kilko-godzinny. Jest to niezbędne.

— Zrobię wszystko co zechcesz.

— Liczę na to, a teraz jedź milady do hotelu spełnić swoje zadanie, pociesz biedną Izę, za dwie godziny przyjdę dowiedziéć się o jej zdrowie. Teraz żegnam cię milady, bo mam jeszcze parę ważnych spraw do załatwienia.

Rozdział XXII.

Poświęcenie.

Kończył się ostatni akt *Czarownicy*, balet ma się rozpocząć; gromadka panów uwija się po korytarzu teatralnym, namyślając się czy pozostać w teatrze do końca wieczoru lub też pawrócić do domu i przykładnie udać się na spoczynek.

W pośród nich stoi Boville rozważając poważnie czy nie dobrzeby było przygotować się do snu złożeniem partijki lansknechta, gdy wtem ktoś uderzył go w ramię.

— Jak się masz, Boville; byłem pewny że cię tu spotkam. Proszę opuść teatr i pójdź ze mną.

Boville odwrócił się i zobaczywszy Dennison'a zawołał:

— Ach! to ty Terry! dobrze, idę z tobą. Ale co się u licha stało? wyglądasz jak widmo.

— Chodź prędzej, odrzekł tylko Terry.

Boville wziął go pod rękę i wyszli z teatru.

Nie wymówiwszy ani słowa, Terry poprowadził go zdala od oświetlenia i gwaru bulwarów, w ciemną i pustą uliczkę.

Czyżby rozeszła się już wieść o pojedynku? Boville przypomniał sobie że Dynelly i Dennison są z sobą spokrewnieni, choć nigdy nie mógł się dowiedzieć w jakim stopniu... zapewnie więc Dennison chce pomówić z nim o tym pojedynku, ale po cóż, u licha! tak tragiczną ma minę.

— Bovill'u, rzekł nagle Terry, lord Dynely i książe Venturini mają się jutro pojedynkować, a ty jesteś sekundantem Dynely'ego?

— Tak, choć z wielką niechęcią, bo to fatalna sprawa. Dynely nie ma najmniejszej szansy i powiedziałem mu to; ale na upór nie ma lekarstwa. Chociaż, co prawda prawie nie ma tu rady; ten przeklęty książe gotów mu plac ostrzelać i ogłosić go za tchórza, którym przecież Eryk nie jest. Mój kochany Terry, w tej chwili doszli do latarni gazowej, której światło padło na twarz Dennison'a, ale

cóż ci się stało, zawołał przerywając mowę Boville, taki guz wystąpił ci między oczami.

Terry poczerwieniał; nasunął kapelusz aż na oczy i odrzekł zmuszając się do uśmiechu.

— Przypadek prosty, nie zważaj na to, mój drogi. Piękność moja nie wiele na tem cierpi, a potrzebuje rozmówić się z tobą o tym pojedynku. O której że godzinie ma się odbyć?

— Między szóstą a siódmą rano, to najwłaściwsza godzina. Ale kto ci powiedział o pojedynku, Concressault czy Dynely.

— Mówiłem z obydwoma. Boville'u ten pojedynek nie może mieć miejsca.

— Bardzo temu rad będę, odrzekł otwierając szeroko swoje małe oczy; nigdy w życiu nie byłem wmięszany do żadnego zabójstwa i szczerze chciałbym i teraz tego uniknąć, ale powiedzże mi co zrobisz aby nie dopuścić pojedynku?

— Możesz powiedzieć Erykowi że nie chcesz być jego sekundentem.

Boville ruszył ramionami i odrzekł przykładając do oczu lornetkę:

— Tak, aby mi za to w łeb wypalił. Co prawda nie mam w nim nadmiaru mózgu bo to nie przytrafia się jakoś w naszym rodzie, ale zawsze wolę zachować tę trochę co posiadam. Nie, mój Terry, ten pomysł nic niewart, obmyśl jaki inny.

— Bovill'u to nie będzie pojedynek ale poprostu niecne morderstwo.

— Wiem o tém dobrze i powiedziałem to Dynely'emu, ale na cóż się to zdało? Zaplątał się w tę szatańską sprawę i musi teraz poddać się jéj następstwom. Przez trzy tygodnie rozkoszował się romansowaniem z Feliyą, a teraz przyjdzie mu ciężko to przypłacić. Ale, co do Felicyi była dziś jeszcze piękniejszą i grała z większym zapałem niż kiedykolwiek,.. gdyby tak ona miała jutro poledz na placu, z wielką przyjemnością patrzyłbym na to.

Deszcz padał; szli czas jakiś milcząc; nareszcie Terry rzekł zmienionym nieco głosem.

— Boville'u, byłby jeden, jedyny sposób.

— Powiedzże jaki, szczęśliwy będę jeźli da się zastosować.

— Trzeba żebym ja zajął miéjsce lorda Dynely.

Dotąd Hubert Boville miał pretensyę i chełpił się tém zwykle że go nic już ani wzruszyć ani zadziwić nie zdoła, teraz jednak, mimo deszczu, stanął nagle jak wryty, wlepiając w towarzysza zdumione spojrzenie.

— Ty miałbyś zająć... Nie, kochany Dennison, musiałem się przesłyszéć albo nie zrozumiéć słów twoich, czy nie zechciałbyś ich powtórzyć?

— Bez tych wybiegów, Boville'u, słyszałeś i zrozumiałeś dobrze, muszę koniecznie zająć miéjsce Eryka. Jest to moje niezłomne postanowienie, i właśnie przyszedłem prosić cię abyś mi w tém dopomógł.

Bovil'le poprawił lornetkę i zaczął w ciemności wpatrywać się w przyjaciela.

— Zawsze myślałem, rzekł, że mam mniéj rozumu niż którykolwiek z moich znajomych, teraz przekonywam się że byłem w błędzie. Terry, proszę cię racz mi powiedziéć odkąd straciłeś rozum?

Terry odrzekł zniecierpliwiony.

— Boville'lu, nie traćmy czasu na niewczesne żarty. Powiem ci w kilku słowach co postanowiłem. Obaj jesteśmy przekonani że Dynely nie ma żadnéj szansy; dla niego pojedynek z Venturini'm, to po prostu poddanie głowy pod miecz kata. Co do mnie, to rzecz inna. Mogę nie być tak pewnym swego strzału jak książe, bo nie nawykłem brać za celową tarczę ciała ludzkiego, ale jednak dość celnie strzelam z pistoletu, i wiem że ręka mi nie zadrży. Mam więc zamiar strzelać się jutro z księciem Venturini.

Powiedział to tak stanowczo, że Boville nie wiedział co odpowiedziéć.

— To rzecz niesłychana! rzekł nareszcie; więc Eryk zezwoli na to a sam pozostanie na uboczu?

— Eryk nic o tém nie wié i niedowié się aż gdy już będzie po wszystkiém. Za nic w świecie nie zgodziłby się na to sam szatan nie może być upartszym od niego.

— Musisz być duszą i ciałem oddany Erykowi, stary mój kolego... doprawdy nigdy jeszcze w życiu nie zdarzyło mi się słyszéć nic podobnego, przechodzi to Oresta, Pilada, Damona i wszystkich sławnych w dziejach przyjaciół, boć zresztą w obec księcia i ty także nie masz większéj szansy jak Dynely.

— Ja sądzę że się mylisz co do tego, odrzekł zimno Terry, bo strzelam dobrze i prawie z każdym mogę się mierzyć.

— Być może prawie z każdym, tylko nie z księciem. Zresztą jest to niemożebne, najzupełniéj niemożebne... Jak możnasz przypuszczać aby Venturini chciał pojedynkować się z tobą zamiast z Dynely'm?

— To też nie przypuszczam żeby chciał gdyby wiedział o tém, i dla tego chcę tak ułożyć wszystko żeby się niczego nie domyślał.

— Jakże tego dokażesz?

— Nic łatwiéjszego; Venturini nie zna Eryka.

— Ale z widzenia zna ciebie, a Concressault zna znów Eryka jak zły szeląg, i jakże potrafisz oszukać ich obu?

— Boville'lu, rzekł stanowczo Terry, nie rozprawiajmy nad tém co koniecznie być musi. Gdybym nawet miał pewność, któréj nie mam, że Venturini mnie zabije, i tak jeszcze pojedynkowałbym się z nim. Czas jest dżdżysty i ponury, pojedynek ma się odbyć zaledwie dzień zaświta, nasunę tak na oczy kapelusz, aby przykrył znaczną część twarzy. Z figury i z ruchów jesteśmy dość do siebie podobni... a zresztą żadnemu z nich podobne podejrzenie nawet na myśl nie przyjdzie, bo skądże mogliby je powziąść? Tak więc obaj będą przekonani że jestem lordem Dynely, pojedynek się odbędzie i raz wszystko się skończy.

— Tak najprawdopodobniéj wszystko się skończy... a cóż przez ten czas robić będzie lord Dynely?

Rumieniec wystąpił na twarz Terrego.

— Będzie spał spokojnie uśpiony narkotykiem... pomyślałem o tém zawczasu.

Boville stanął nagle nie ukrywając zdziwienia.

— Dynely będzie spał?... i któż zada mu narkotyk?

— Matka jego, z mojéj namowy.

— A! zawołał Boville, to rzécz niesłychana; niech mnie licho porwie jeźli kiedykolwiek słyszałem coś podobnego! Ach! Terry, jak ty musisz kochać Eryka?

Ciemność nie dozwoliła mu widziéć rumieńca jaki pokrył twarz Terrego.

— Posłuchaj mnie, Boville, wyznam ci całą prawdę. Nie uczynię tego bynajmniéj przez miłość dla Eryka ale przez miłość dla matki i żony jego, których życie tak ściśle złączone jest z jego życiem, iż gdyby zginął, poszłyby za nim do grobu. Otóż, wyznaję ci, kolego, że ja wszystko, wszystko winien jestem jego matce, i przysiągłem jéj ocalić jéj syna... Muszę więc bądź co bądź dotrzymać przysięgi... Teraz przyjacielu wiesz o wszystkiém.

— I ty myślisz że ja dopomogę ci do tak donkiszotskiego przedsiewzięcia? zawołał Boville. i będę świadkiem śmierci twojéj?...

— No, co najmniéj będziesz świadkiem jak przeciwnik mój będzie celował do mnie, odrzekł z uśmiechem Dennison. Nie odmawiaj mi, kochany Boville'u; będzie to stokroć lepiéj niż gdybym dozwolił aby Eryk stanął do pojedynku, którego Venturini położyłby trupem na placu, jak dwa a dwa cztery. Co do mnie, pochlebiam sobie że mam równą z księciem szansę, i wcale nie mam ochoty dać mu się zabić. Dotrzymam słowa danego lady Dynely...

— Czy lady Dynely żądała tego od ciebie abyś zamiast jéj syna pojedynkował się z księciem?

— Ale gdzież znowu, gdyby wiedziała nigdy nie zezwoliłaby na to; ale przyrzekłem jéj go ocalić, a nie ma na to innego środka... Jak ci to już powiedziałem lady Dynely była moją opatrznością przez całe moje życie; gdyby Eryk zginął, ani matka ani żona nie przeżyłyby jego śmierci, gdy tymczasem mnie, tu westchnął ciężko, mnie nikt nie kocha!

Boville spojrzał na niego jakby nagłą uderzony myślą; po raz pierwszy dostrzegł dziwne jego podobieństwo z lordem Dynely. Była to niby inna twarz, ale ruchy, jakieś coś nieokreślonego, nadzwyczaj przypominały Eryka. Czyżby zachodziło między nimi bliższe pokrewieństwo niż świat przypuszczał?...

Dochodzili do *Wielkiego-Hotelu*; deszcz padał, prowadzące do niego szerokie jasno oświetlone drogi, były prawie puste; Dennison zatrzymał się i uścisnął serdecznie dłoń towarzysza.

— Wszak mogę liczyć na ciebie, Boville, nie odmówisz méj prośbie?

— Bardzo niechętnie i z bólem serca... ale skoro nalegasz koniecznie...

— O! tak, przyjacielu, koniecznie... Więc przed siódmą?...

— Tak, ale uprzedzam cię że zamiar twój nie da się urzeczywistnić; Venturini i Concressault poznają cię z pewnością.

— Nie poznają, bo nic podobnego nie przyjdzie im do głowy. Do jutra, kochany Boville; dobranoc, śpij spokojnie.

W pokoju Izy błyszczy słabe światełko; ona leży na łóżku blada, nadzwyczaj osłabiona, lady Dynely czuwa przy niéj. Około północy weszła po cichu służąca, i oznajmiła milady że pan Dennison przybył.

— Terry! zawołała i cała drżąca pobiegła do przyległego pokoju. I cóż? zapytała słabym głosem.

— Wszystko już ułożone, odpowiedział cicho; a jakże się ma Iza?

— Zasnęła i żadne nie grozi niebezpieczeństwo. Było to tylko pęknięcie jakiéjś małéj nic nie znaczącéj żyłki, doktór zaręcza że za kilka dni będzie zdrowa.

— Dzięki niebu! wyszeptał. A Eryk?

— I on śpi; stosownie do twego polecenia, domięszałam mu do szklanki wina silny narkotyk; zasnął jak dziecko.

Gdy to mówiła usta jéj drżały, Terry objął ją ramieniem i przycisnął do serca.

— Odwagi, matko, rzekł; bądź spokojna o Eryka, dotrzymam słowa... A teraz, dodał z rozrzewniającą nieśmiałością, czy mogę przed odejściem stąd wejść na chwilę do pokoju Izy?

Otworzyła mu drzwi a sama została w salonie.

Wszedł po cichu i ukląkł z poszanowaniem w nogach łóżka. Iza spoczywała na niem spokojnie nieruchoma, blada, jak biała lilijka.

— Droga, ukochana moja Izo, wyszeptał, ty

wielka, jedyna miłości moja! chętnie poświęcam życie, jeźli tą ofiarą mogę zapewnić ci szczęście. Bywaj mi zdrowa, aniele mój drogi; niech cię Bóg strzeże i błogosławi!

Lady Dynely opuściła salon i udała się do pokoju syna, aby się przekonać czy śpi mocno. Spał z głową wspartą na ręce, z twarzą zwróconą ku blademu światłu nocnéj lampki. Powróciła spiesznie aby jeszcze pomówić z Terrym, ale już go nie było.

Rozdział XXIII.

Jutrzenka.

Deszcz padał nieustannie przez całą noc; zmniejszył się dopiero nad ranem, gdy słabe blaski jutrzenki zabłysły na horyzoncie.

Słabe jéj i nierówne brzaski, zwolna rozjaśniały ponure niebo, gdy fiakr pędzący szybko ulicą lasku Bulońskiego zatrzymał się i wysiadło z niego trzech mężczyzn.

Był to Terry, Boville i chirurg, Anglik osiadły w Paryżu.

— Czekaj tu na nas, rzekł Boville do woźnicy.

Trzéj przybyli zwrócili się prędko ku ubocznemu, dość odległemu miejscu, otoczonemu wysokiemi drzewami, pod których cieniem odbyło się już tyle spraw zwanych honorowemi.

Wszyscy milczeli. Boville był zasępiony i niespokojny; kręcił gwałtownie wąsy przykremi zajęty myślami.

— Doznaję zupełnie takiego wrażenia, Terry, jak gdybym miał pomagać do zamordowania cię, rzekł do Dennisona przed wyjazdem.

Od dawnych lat łączyły go z Terrym węzły koleżeństwa, a był przekonany że tenże idzie jakby dobrowolnie na śmierć.

Na smutne to przeczucie wiele rzeczy się składało; czas szkaradny i ponury; tak niepojęcie ranne wstanie, ale nadewszystko ustalona sława księcia Venturini, jako nadzwyczaj celnego, nigdy nie chybiającego strzelca.

— A! czemuż fatalność wmięszała mnie do téj szatańskiéj sprawy! mruczał z gniewem. Szkoda byłoby i Eryka, a cóż dopiero Terrego... Nigdy nie zdarzyło mi się... nigdy nawet nie słyszałem o czemś podobnem... nigdy... Jeźli Dennison zginie, jak sam jest o tém przekonany, całe życie wyrzucać sobie będę że byłem jakby wspólnikiem jego zabójstwa.

Szli w milczeniu pod drzewami, depcząc po mokréj trawie.

— Za nadtośmy się pośpieszyli, rzekł Boville.

— Dowodzi to naszéj grzeczności, odrzekł wesoło Terry; a zresztą pewnie nie będziemy czekać zbyt długo, Venturini nie zwykł się spóźniać w podobnych razach.

Dennison był blady i zdawał się mocno znużony. Całą noc prawie nie zmrużył oka; napisał dwa listy, jeden do lady Dynely, drugi do Eryka, i oddał Boville'owi prosząc aby je im doręczył w razie jego śmierci... a że śmierć ta miała nastąpić niemylnie, tego był tak pewny jak i Boville.

Zajście jakie miało miejsce między księciem Venturini a lordem Dynely, nie może się kończyć pół środkami; to też Terry był najmocniéj przekonany, iż książe ma niezłomny zamiar pozbawić życia przeciwnika, o ile tylko to od niego zależéć będzie.

Terry starał się jak najwięcéj zmienić twarz swoją; ogolił długą rudawą brodę, ułożył, zmniejszył i zakręcił sumiaste swoje żołnierskie wąsy, przycie mniając je aby zupełnie były podobne do pięknych starannie utrzymywanych wąsików Eryka. To wszystko tak zwiększyło zachodzące familijne podobieństwo, iż sam Boville nie poznał go w pierwszéj chwili. Wystąpiony wczoraj siniak między oczami, zbladł bardzo pod okładami zimnéj wody, dodawszy do tego podobne ruchy, brzask zaledwie się rozjaśniający i niepodobieństwo przypuszczenia nawet podobnéj myśli, a pojmiemy że ani Venturini ani świadkowie jego nie domyślili się substytucyi.

Boville spojrzał na zegarek.

— Trzy kwadranse na siódmą, rzekł, już powinni byli przyjechać; bardzo to nie miło tak czekać...

— Sza! rzekł Terry kładąc palec na ustach.

W téjże chwili dał się słyszéć odgłos nadchodzących kroków i głosów.

— Wiedziałem że jego Excellencya nie każe nam długo na siebie czekać, otóż idą!

Można ich już było widzieć z daleka. Terry mocniéj nasunął na oczy kapelusz i zaczął zapalać cygaro.

Venturini oddał mu głęboki ukłon, z całą uprzejmą grzecznością z jakiéj w ogóle słynął. Terry, jako prawdziwy Anglik, odkłonił się sztywno zdaleka.

Pan de Concressault zbliżył się do Boville'a, przepraszając najuprzejmiéj za małe spóźnienie.

— Stokrotnie przepraszam! przykro mi niewymownie że czekaliście panowie na deszczu, ale to wina przeklętego naszego woźnicy. Czy zechcesz pan rozpocząć zaraz przedwstępne kroki, nie mamy czasu do stracenia?

Terry stał odwrócony plecami, zajęty ciągle cygarem i wyjmował zapałki, które z powodu zawilgnienia nie chciały się zapalić.

Książe stał wsparty o drzewo o jakie czterdzieści kroków, na ustach jego błąkał się szatański uśmiech tryumfującéj zemsty.

Świadkowie umówili się prędko; Concressault tyle już razy był sekundantem iż doskonale był obznajmiony z temi obowiązkami.

Stanęło na tém że obaj przeciwnicy mają wystrzelić jednocześnie, z odległości czternastu kroków, gdy sekundanci, podniosłszy chustkę, zakomenderują zwykłe: raz, dwa, trzy.

— Racz książe stanąć tu, rzekł Boville wskazując miejsce.

Venturini skłonił się i zajął wskazane stanowisko; z żółtawéj jego twarzy i z ust wykrzywionych szatańskim uśmiechem, można było wyczytać że jest pewny swéj zemsty.

— Stań tam, Terry, rzekł Boville zniżając głos; ale na miłość Boską strzelaj w téj chwili gdy zawołam trzy.

Terry skinął potwierdzająco głową, rzucił cygaro i stanął na wskazanem stanowisku. Serce jego biło silnie z obawy aby nie został poznanym.

Chwilka oczekiwania, po któréj Boville wyjął z kieszeni białą chustkę.

— Czy jesteście panowie gotowi? zapytał. Pauza. Raz... dwa... znów pauza i szybko zwrócił wzrok na Terrego; trzy!...

Biała chustka opuściła się i jednocześnie dwa wystrzały rozległy się w porannéj ciszy.

I znowuż pauza, krótka, straszna. Lekki obłoczek dymu z wystrzałów rozszedł się; przeciwnicy stali na stanowiskach. Lewa ręka księcia obwisła przestrzelona; Boville wpatrzył się w Terrego. Czyż szczęściem książe chybił pierwszy raz w życiu?... Wtém Terry zachwiał się, obrócił i padł ciężko na ziemię.

Chirurg a za nim Boville rzucili się ku niemu podnieśli go i podtrzymali głowę. Twarz posinia ła, oczy się zamknęły, z piersi, w kierunku serca krew popłynęła.

— Czy nie żyje? zapytał Boville. sam śmiertelnie blady.

— Jest to tylko zemdlenie, ale...

Rozsunął koszulę i obejrzał ranę; po nad sercem ukazał się czarny punkt z którego krew płynęła.

— Zdaje się że rana nie wielka i krwotok nie powinienby być znaczny, zawołał Boville. Na miłość Boga Jackson'ie, mówże co o tém myślisz.

— Myślę że ma tu miejsce krwotok wewnętrzny, i boję się że młody ten człowiek ma zaledwie parę godzin życia... A jak silnie zbudowany! w zwyczajnych okolicznościach, mógłby doczekać stu lat.

Boville rozpaczliwie załamał ręce.

— Czy można go przenieść? zapytał.

— Tak... w każdym razie na jedno to wyjdzie. Gdzież chcesz pan go przewieźć?

— Do *Wielkiego-Hotelu*, tam znajduje się jego rodzina i przyjaciele.

W téj chwili nadchodził książe z kapitanem Żuawów; Boville i chirurg dosłyszeli te słowa:

— Proszę cię, Concressault, zobacz czy skończył, rzekł książe obojętnie, a potem dodał: jeźli żyje to dowód że ręka moja już nie tak pewna jak zawsze dotąd, gdyż postanowiłem sobie zabić go na miejscu.

— Umarł już, odrzekł równie obojętnie Concressault; został ugodzony w samo serce, trzeba żebyś książe niezwłocznie opuścił Paryż.

„Żegnamy panów" i ukłoniwszy się grzecznie, odeszli nie spojrzawszy nawet na swoją ofiarę.

Siódma godzina wybiła na wszystkich zegarach Paryża i na zegarze stojącym na kominku w pokoju Izy śpiącéj snem gorączkowym. Blada i zmieniona lady Dynely czuwała przy jéj łóżku. Eryk spoczywał w przyległym pokoju; spał snem głębokim i spokojnym, fatalna godzina minęła.

Serce lady Dynely biło gwałtownie, trawił ją straszny niepokój. Gdzie Terry? co się z nim dzieje? jakim sposobem zdołał załatwić ten pojedynek?.. Dręczyło ją jakieś nieokreślone prorocze przeczucie prawdy, ale odtrącała je od siebie. Nie, to niepodobna! Terry nie mógłby uczynić coś podobnego... nie jest przecież tak szalonym jak Eryk!... Nie! nie w taki sposób wywiąże się on ze swego przyrzeczenia... Tak mówiła sobie, i tylko nigdy równie gorąco nie pragnęła zobaczyć kogoś jak teraz Terrego.

W pół do osméj. Podniosła się cicho i przeszła do pokoju Eryka leżał spokojnie zawsze w głębokim śnie pogrążony. Piękna twarz jego tchnęła rozkosznym spokojem, pochyliła się i pocałowała go, a z serca jéj wzniosła się ku niebu gorąca za nim modlitwa. Od chwili urodzenia był on zawsze ulubionem jéj bożyszczem... Ach! gdyby nie Terry, dobry, szlachetny Terry, możeby już w téj chwili leżał gdzieś martwy... Biedny, nieoceniony Terry!... Czyż ktoś inny byłby zdolny wyrzec się największych darów życia na korzyść młodszego brata... a jednak on uczynił to dla niéj... O! na przyszłość okaże mu na każdym kroku jak bardzo jest mu wdzięczną jak umie ocenić nieograniczoną szlachetność jego duszy...

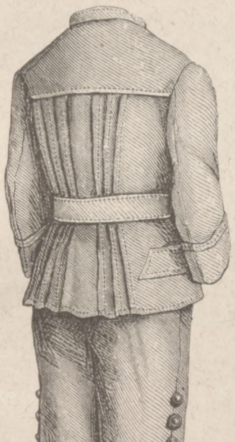
(d. n.)

Opis do N-ru 41.

(Dokończenie).

Bryt tylny układa się w górze w podwójną kontrafałdę zaszywa z dłuższego boku w dwa pukle a z krótszego w fałdy oznaczone. Brzegi draperyi wszędzie oszyte plisą z pekinu 6 cent. szeroką. Kokardy z wstążki niebieskiej repsowej, 8 cent. szerokiej.

N. 13—15 i ryc. 26 w N. 40. **Paletocik** dla dziecka robiony ściegiem tunetańskim. Krój N. III, Fig. 20--24. Materyał: 205 gram. włóczki angielskiej białej, 10 gramów czarnej.



N. 1. Ubranie dla chłopca lat 3 — 5. Przód i opis w N. 40 ryc. 2. Krój na arkuszu N. II Fig. 11--19.

Paletocik z włóczki białej robi się ściegiem tunetańskim wskazanym na próbce r. 26 w N. 40, gubiąc lub przybierając podług formy. Każdą część wykończa się oddzielnie a następnie łączy igłą lub szydełkiem z lewej strony i oszywa szlakiem robionym oddzielnie w włóczki czarnej i białej, którego próbkę naturalnej wielkości dajemy na ryc. 15. Jak to widzimy na próbce rycina 26 w rzędach idących od prawej do lewej ręki, daje się co drugie oko po dwie pentelki, na które w pierwszem obrobieniu zarzuca się co drugie oko nitkę na szydełko, a przy przerabianiu od ręki lewej do prawej te dwie pentelki zrabia się jednem okiem; w następnych rzędach pierwszą z podwójnych pentelek bierze się w oko przerobienia, drugą razem w dwa oczka podwójne. Tak przody jak i plecy paletocika zaczyna się od dołu, a dla nadania potrzebnego zaokrąglenia powiększa się stopniowo liczbę o. w kilku początkowych rzędach.

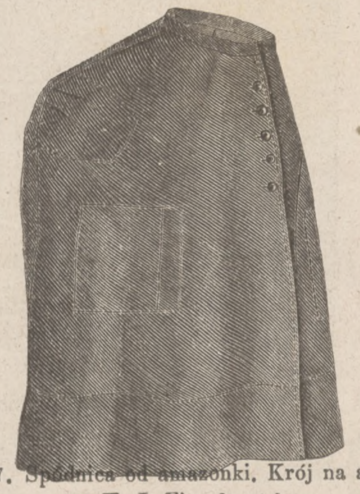


N. 3. Ubranie spacerowe z paletocikiem i kamizelką.

N. 4. Suknia z vêtement. Przód i krój na arkuszu Nr VI, Fig. 30 i 30a.



N. 5—6. Stanik do amazonki ryc. 7. Krój na arkuszu Nr I, Fig. 1—7.



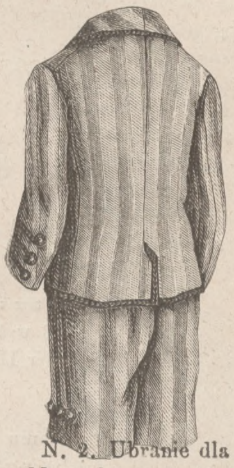
N. 7. Spódnica od amazonki. Krój na arkuszu Nr I, Fig. 8—10a.



N. 8. Stanik z baskiną i plastronem bawetowym.

N. 16—18. Czapeczka i kaftaniczek do chrztu dla niemowlęcia. Krój N. IV i V, Fig. 25 — 29. Zobaczyć próbkę rzuciku na ryc. 24—25 w N. 40.

Dla dzieci maleńkich podawanych do chrztu w poduszce odpowiedni jest kaftaniczek krótki i czapeczka tiulowa podwleczona niebieską materyą lub fularem. Na tle tiulowem wyszyć można rzucik podług ryc. 24 — 25 w N. 40, szlak do kaftaniczka odrobić podług próbki ryc. 18, a wykrój szyi i czapeczkę obramować riuszą tiulową, przepinaną kokardami z wąziutkiej niebieskiej wstążeczki.



N. 2. Ubranie dla chłopca lat 5—7. Patrz ryc. 32 w N-rze 40. Krój na arkuszu N. X, Fig. 49—56.

N. 19 — 20. Trzewiki długa sukienka dla dziecka noszonego na ręku. Krój w dawniejszych N-rach Tygodnika z roku bieżącego.

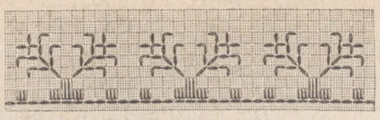
Sukienka z białego batystu lub muślinu ma z przodu plastron ze wstawek koronkowych i haftowanych, zakończony z brzegów szlaczkami haftowanemi. Falbanka wycięta w zęby przedzielane kontrafałdą zakończona jest wązką koroneczką, przystębnowaną batystową listewką. Pod plastron można dać niebieską podszewkę, kokardy i pukle z niebieskiej atłasowej 4 cent. szerokiej wstążki. Trzewiczki z atłasu takiego jak sukienka koloru, garnirowane wąziutką koroneczką, naszytą na dwie strony i grubym jedwabnym sznurem danym na przyszyciu koronki, kokardy z takiej samej koroneczki złączonej sznurem.



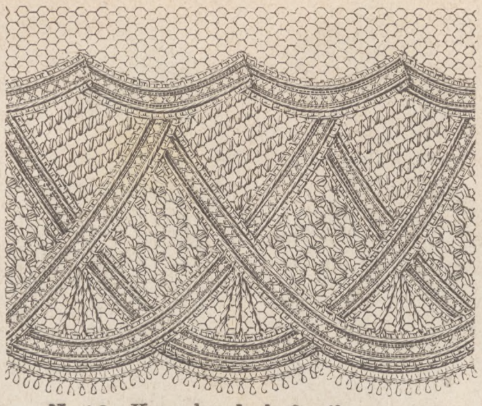
N. 9. Stanik z baskiną i draperya do sukni ryc. 10 i 11 w N-rze 40. Krój tuniki na arkuszu Nr XV, Fig. 72.

N. 21. Płaszczyk z peleryną i kołnierzem dla dziecka noszonego na ręku, ozdobiony wyszyciem sutaszu. Krój i deseń wyszycia N. XIII, Fig. 64 do 70.

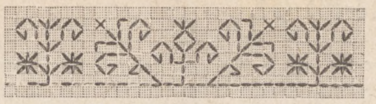
Przód i plecy kaszmirowego watowanego płaszczyka kraje się podług Fig 64, fałduje w górze i wszywa do karczka od 9 do 10; w rękawy przy ręku wszywa się tasiemkę elastyczną. Na Fig. 68 dajemy formę połowy peleryny którą podług miary trzeba równie jak i formę płaszczyka od dołu przedłużyć i rozszerzyć. Przy zeszyciu w środku peleryny zostawia się u dołu rozporek 20 cent. długi; w górze wszywa ją się razem z kołnierzem do wykroju karczka od 17 do 18. Dla dogodności w noszeniu dziecka z prawego boku płaszczyka daje się rozporek przykryty patką. Oprócz wyszycia sutaszem pelerynę oszywa się frendzlą jedwabną 10 centym. szeroką.



N. 10. Szlak do ubiorów dziecinnych.



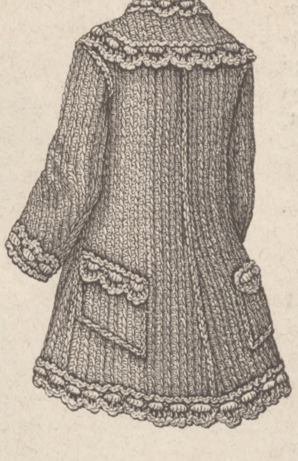
N. 18. Koronka do kaftanika ryc. 17.



N. 11. Szlaczek do ubiorów dziecinnych.



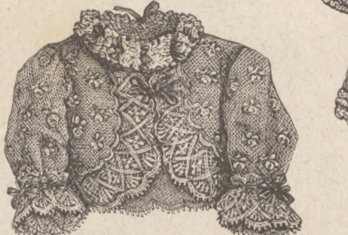
N. 13. Paletocik szydełkowy dla małego dziecka. Patrz ryc. 14 i 15 i ryc. 26 w N. 40. Krój na ark. Nr III, Fig. 20—25.



N. 14. Paletocik szydełkowy dla małego dziecka. Patrz ryc. 13.



N. 16. Czepeczek dla dziecka. Krój na arkuszu Nr V, Fig. 27—29.



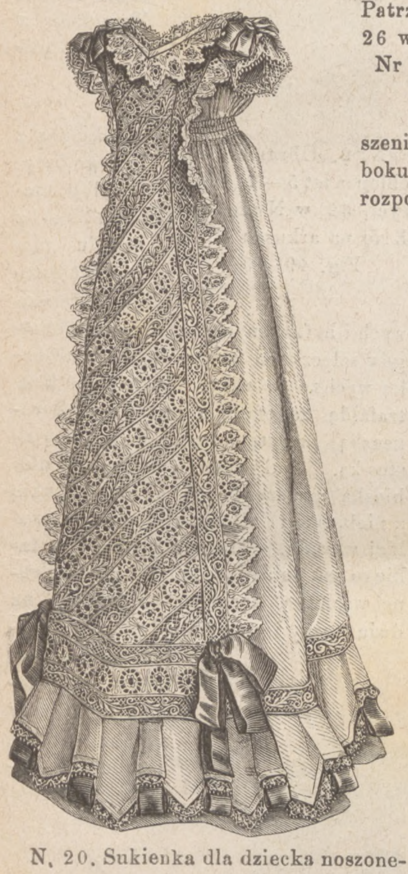
N. 17. Kaftaniczek dla dziecka do chrztu. Krój na arkuszu Nr V, Fig. 25—26.



N. 19. Trzewiczek atłasowy dla małego dziecka.



N. 15. Szlaczek szydełkowy do ryc. 13.



N. 20. Sukienka dla dziecka noszonego na ręku.

N. 22—23. Sukienka wycięta dla małej dziewczynki. Krój Nr. XII, Fig. 59—63.

Ta forma nadaje się zarówno do sukienek aksamitnych kaszmirowych, pikowych lub batystowych. Z przodu przedstawiona sukienka ryc. 22, odrobiona była z dymki białej w paski i przystrojona falbankami haftowanemi 2 1/2 i 6 cent. szerokiemi, przyszytemi wązkiemi listewkami, wyszytemi ściegiem cierniowym. Na ryc. 23 widzimy z tyłu sukienkę białą batystową, ozdobioną koronką nicianą 5 cent. szeroką, zapinaną przez całą długość pleców na guziczki; na zakłady 2 cent. szerokie trzeba do każdej połowy pleców dodać 6—8 cent. materyału. Do tylnej części spódniczki dodaje się przy prostym brzegu po 8 centym. materyału, przymarszcza ją się cokolwiek, wszywa w wązką listewkę i przyczepia nieznacznemi ściegami od spodu do sukienki.

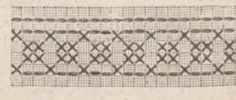


N. 22 — 23. Sukienka wycięta dla małej dziewczynki. Krój na arkuszu Nr. XII, Fig. 59—63.

N. 24—26. Teka do papierów haftowana złotem. Deseń naturalnej wielkości na narożniki rycina 25 i 26, deseń środkowej arabeski Fig. 32.

Rycina 24 przedstawia piękną tekę 31 cent. wysoką a 24 szeroką pokrytą szafirowym aksamitem, na zwierzchniej stronie ozdobioną bogatym złotym haftem, a w środku wyklejoną szafirowym atłasem. Sposób haftu złotemi nićmi, sznureczkiem i bajorkiem, opisywaliśmy w Tygodniku Mód w roku 1876 i 78.

N. 27. Serweta na stolik do szycia. Robota krzyżowa na kanwie kongresowej. Deseń Fig. 33 na arkuszu z krojami.



N. 12. Szlaczek.

Serwetka mająca 102 cent. długości a 50 szerokości, robiona była na kanwie białej; 1/4 część jednego z trzech kwadratów deseniu z oznaczeniem użytych kolorów podajemy na Fig 33. Szlaczek otaczający kwadraty, wyszywa się także przy podłużnych brzegach serwetki. W miejsce obrąbka brzegi serwetki oszywa się tasiemeczką koronkową, wyszytą ściegiem cierniowym, kolorem bronzowym albo niebieskim. Do brzegów zębów przyczepia się sute kwasty włóczkowe z mieszanych kolorów.



N. 21. Płaszczyk z peleryną i kołnierzem. Krój i deseń wyszycia na ark. Nr XIII, Fig. 64—70.

N. 32 — 33. Płaszczyk jesienny. Krój Nr VII, Fig. 35—39a.

Taki płaszczyk odrobić można z dużej ciepłej chustki w drobne paski, małą kratkę lub gładkiej, której frendzla służy także do oszycia; lub też z kortu, szewiotu, albo nawet do strojnego ubrania z materyi je-



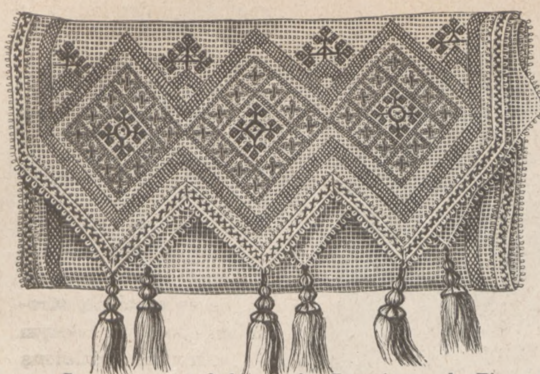
N. 24. Teka do papierów haftowana złotem. Patrz ryc. 25 do 26 i Fig. 32 na arkuszu.



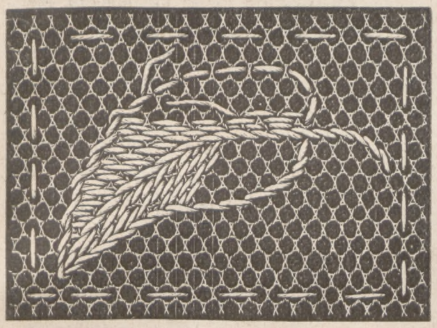
N. 25. Narożnik haftowany złotem, do ryc. 24.



N. 26. Narożnik haftowany złotem, do ryc. 24.



N. 27. Serweta na stół do szycia. Deseń na ark. Fig. 33.



N. 28. Wywodzenie na tiulu do ryc. 29.

dwabnej lub kaszmiru na lekko watowanej podszewce. Wówczas brzegi oszywa się frendzlą marabutową, na środku wzdłuż pleców do materyi da:e się szeroką jedwabną pasmanteryę a do kaszmiru wstawia się część fałdowaną z faille. Gdy się przody z plecami zeszyją na ramionach od *A* do *B*, a z boku od *C* do dołu, zeszywa się spodnią, małą część rękawa ze zwierzchnią od dwukropka do *D*, a następnie wszywa się rękaw od gwiazdki do *D* z przodu dalej do *B* przy zeszyciu ramienia i od *E* do pleców. Wykładany kołnierz przyszyć do wykroju szyi od *F* do *G*.

N. 34. Ekran przed kominek. Haft kolorowy. Deseń na dodatku z krojami Fig. 31.

Piękna hebanowa rama ekranu miała 142 cent. wysokości a 80 szerokości; haft na czarnym aksamicie robi się filozelą o dwóch nitkach w różnych matowych kolorach, kontury przy arabeskach zapełnionych ściegiem łańcuszkowym, odznacza się sznureczkiem złotym. Na Fig. 31 dajemy $^1/_4$ część deseniu, na którym o ile to było możebne oznaczyliśmy rodzaje ściegów. Dobór kolorów musiemy pozostawić dla braku miejsca do opisu własnemu gustowi.



N. 29. Połowa kołnierza wywodzonego na tiulu. Patrz ryc. 5 w N-rze 40 i ryc. 28.

N. 35 i 36. Bukiecik z kwiatów i liści koronkowych.

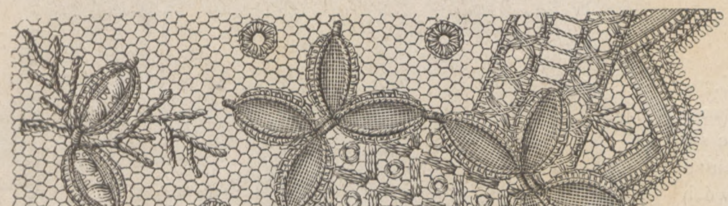
Bukiecik z niezapominajek i blado różowej róży, oprócz ciemnych liści kwiatowych ozdobiony jest liśćmi koronkowemi, które stanowią bardzo modną nowość. Liście takie można kupić prawdziwe koronkowe,



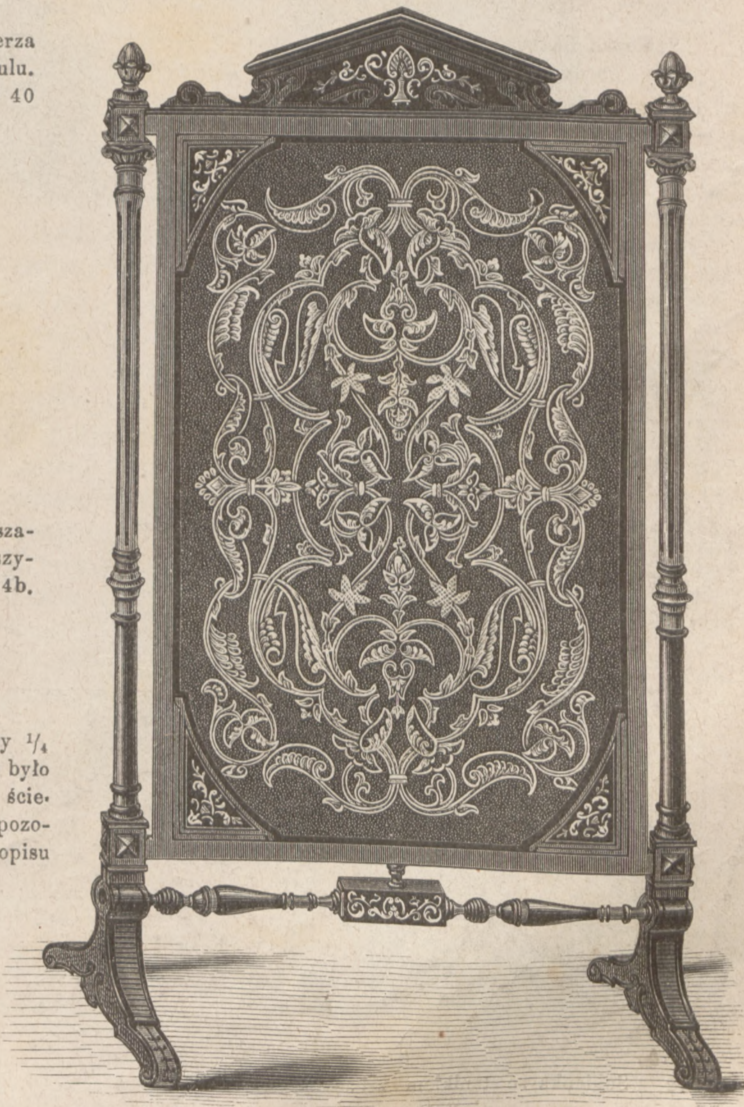
N. 32—33. Okrycie jesienne. Krój na arkuszu Nr VII, Fig. 35—39.



N. 30. Teka do szkiców lub zielnik pokryta szarem płótnem i ozdobiona cyfrą wyszytą krzyżykami. Patrz Fig. 34a i 34b.



N. 31. Narożnik do kołnierzyka i mankietów ryc. 7 — 8 w N-rze 40.



N. 34. Ekran ozdobiony haftem. Deseń patrz Fig. 31.

albo też odrobić własnoręcznie na cienkim nicianym tiulu, podług wzoru podanego w naturalnej wielkości na ryc. 36. W tym celu deseń rysuje się na grubym papierze, tiul fastryguje się podwójnie, następnie jedną połowę więcej matową liścia robi się na tiulu podwójnym, a z pod drugiej wycina się podłużnie. Dla nadania większej sztywności pod żyłkę środkową i w gęsto a cienko odziergane brzegi liścia podkłada się cieniutki drucik srebrny.

N. 37—39. Ubranie dla piastunki. Krój i deseń czepeczka na dodatku N. XI, Fig. 57—58a.

N. 41. Wałek pod głowę.

Pokryty pluszem szafirowym ozdobionym pasami nowego rodzaju tkaniny płóciennej, koloru niewarowego, która ma wyrobiony czarną wełną deseń w ten sposób, iż z jednej strony tło jest szare a deseń czarny, z drugiej deseń pozostaje szary a tło pokrywają przewlóczone nitki czarne wełniane. Ta ostatnia strona nadaje się do haftu i na modelu wałka zarobiona była pół ściegiem, filozelą o dwóch nitkach, oliwkową i dwoma niebieskiemi cieniami. Naszycie pasów przykrywają nitki grubej włóczki oliwkowej, przeszywane jedwabiem niebieskim.



N. 37. Czepek dla piastunki. Patrz ryc. 38 do 39.



N. 35. Bukiecik z koronkowemi liśćmi. Patrz ryc. 36.



N. 38. Garnirunek do czepka ryc. 37.



N. 39—40. Piastunka z dzieckiem. Patrz ryc. 37—38. Krój czepka na arkuszu Nr XI, Fig. 57—58a.



N. 41. Wałek pod głowę.



N. 36. Listek koronkowy do ryc. 35.



N. 42. Sukienka ze stanikiem z baskiną i fałdowanym plastronem.



N. 43. Suknia z panier. Patrz ryc. 1 w N-rze 40. Krój na arkuszu Nr VIII, Fig. 40—47.

N. 42. Ubranie ze stanikiem z baskiną i z fałdowanym plastronem.

Suknia z czarnego indyjskiego kaszmiru, ubrana była czarnym atłasem; spódnica niedotykającaziemi miała dwie 10 cent. szerokie plisowane, kaszmirowe falbanki. Przednie bryty tuniki stanowiące draperyę, u dołu oszyte plisowaniem 4 centym. i plisą atłasową 15 cent. szeroką, a w środek przez całą długość wstawiona część atłasowa, co 17 centym. przedzielana przemarszczeniami 6 cent zajmującemi, w górze mająca 6, u dołu 20 cent. szerokości. Podobne ubranie dane jest do przodów stanika, przy których tworzy plastron bawetowy, przy wykroju szyi w pasie ma 8 cent. szerokości a poniżej bawetu rozchodzi się gładko na dwie strony, jako otwarte wyłożenie mające 9 cent. Ranwers kaszmirowy ozdobiony wyszyciem dziurek i guziczkami ma w górze 9, w pasie 3, a u dołu 5 cent. szerokości; stanik zapina się z jednego boku na kryte haftki. Tunika z tyłu dopełniona jest prostym, zręcznie podpiętym brytem.

TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1879 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 40 i 41.

N. I. Ubranie do konnej jazdy (stanik i spódnica. Rycina 5—6 w N-rze 41.

Miara objętości przez połowę: 47 cent. w gorsie, 27 w pasie.

Fig. 1. Przód A, B, G, H, I, O)
Fig. 2. Pierwszy boczek (A, B, C, D)
Fig. 3. Drugi boczek (C, D, E, F, *)
Fig. 4. Połowa pleców (E, F, G, H, N, :)
Fig. 5. Część fałdowana baskiny (F, *, :, ✕ 1 i · 1)
Fig. 6. Rękaw (I, K, L, M)
Fig. 7. Połowa kołnierza (N, O)
Fig. 8. Pierwszy bryt spódnicy (P, Q, R, S, T) 1 założenie formy
Fig. 9. Drugi bryt spódnicy (T, U, V, W, X, Y, ·, +) 1 założenie
Fig. 10. Klin (Y, Z)

Fig. 8a—10a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 8—10.

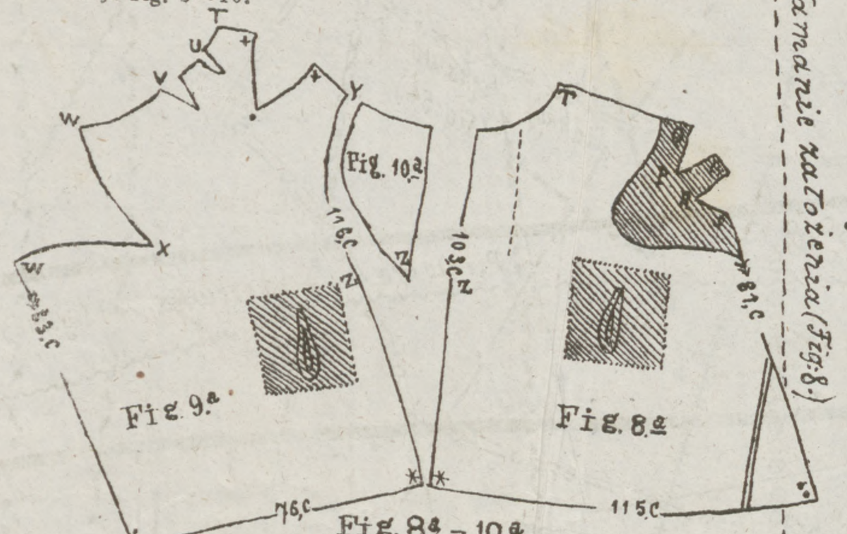


Fig. 8a – 10a

N. II. Ubranie dla chłopczyka lat 3 — 5. Rycina 2 w N-rze 40 i ryc. 1 w N. 41.

Fig. 11. Majtki (a, b, c, d, e, f, g)
Fig. 12. Połowa spodniego staniczka (h, i)
Fig. 13. Przód kurtki (k, l, m, n, y)
Fig. 14. Połowa pleców (k, l, o, p, z, *, :)
Fig. 15. Karczek przedni (m, n, q, r, s, x)
Fig. 16. Połowa tylnego karczka (o, p, q, r, w)
Fig. 17. Rękaw (t, u, v)
Fig. 18. Pasek do wykroju szyi (w, x)
Fig. 19. Klapka od kieszeni (y, z)

N. III. Kaftanik szydełkowy dla dzieci. Rycina 13 i 14 w N. 41

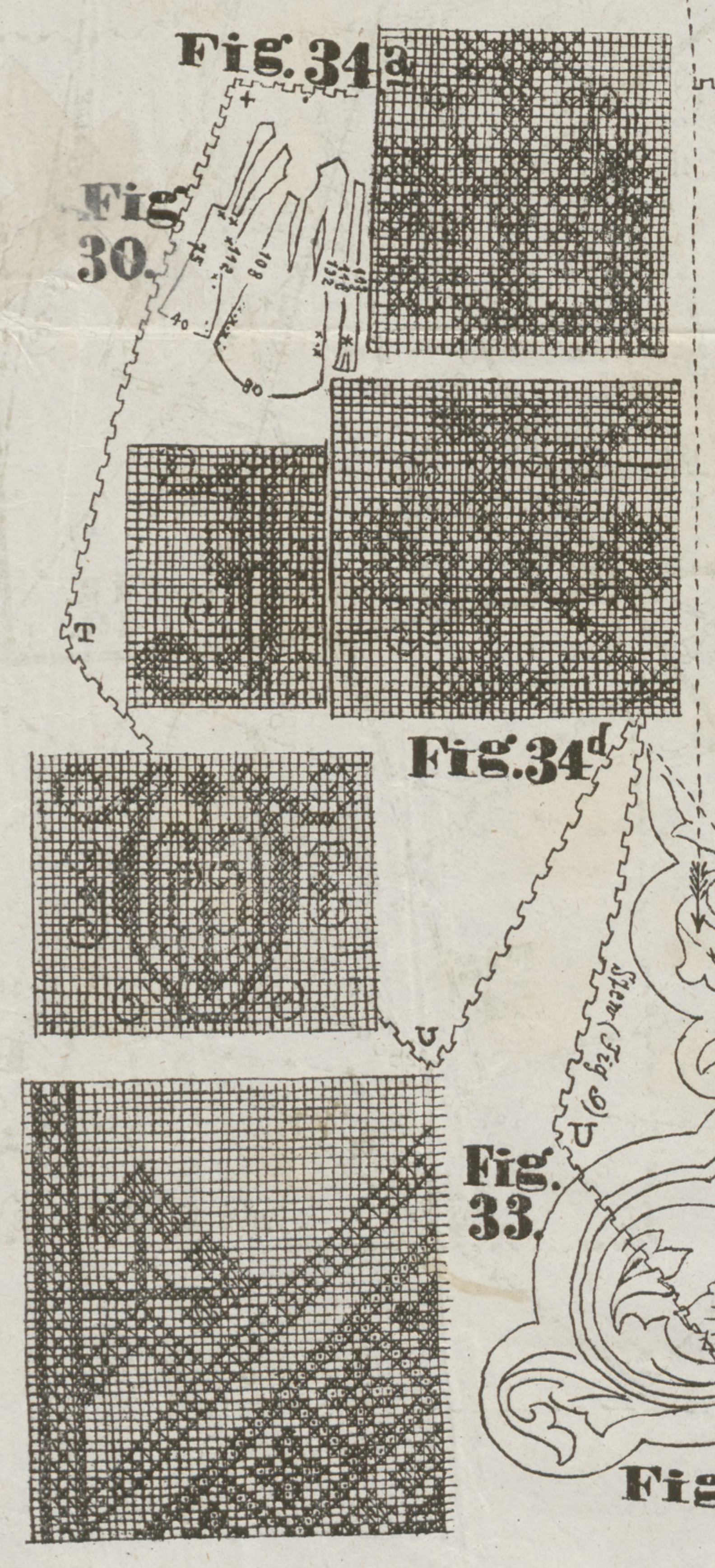
Fig. 20. Przód (1, 2, 3, 4, 5, 10)
Fig. 21. Połowa pleców (1, 2, 3, 4, 9, 11, 12) 1 założenie
Fig. 22. Rękaw (5, 6, 7, 8)
Fig. 23. Połowa marynarskiego kołnierza (9, 10)
Fig. 24. Kieszeń (11, 12)

N. IV. Kaftaniczek do chrztu. Rycina 17—18 w N-rze 41.

Fig. 25. Połowa kaftanika (13, 14, 15)
Fig. 26. Rękaw (15, 16)

N. V Czepeczek do chrztu. Rycina 16 w N-rze 41.

Fig. 27. Połowa karczka (17, 18)
Fig. 28. Połowa denka (17, 18)
Fig. 29. Kwiatek koronkowy.





N. VII. Płaszczyk z dolmanowemi rękawami. Ryc. 32—33 w N. 41.
Fig. 35. Przód (A, B, C, D, G, *) 1 założenie
Fig. 36. Połowa pleców (A, B, C, E, F)
Fig. 37. Zwierzchnia część rękawa (B, D, E, :) 1 założenie
Fig. 38. Spodnia część rękawa (D, *, :)
Fig. 39. Kołnierz (F, G)
Fig. 35a—39a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 35—39.

N. VIII. Vêtement à panier. Ryc. 1 w N. 40 i ryc: 43 w N. 41.
Miara objętości przez połowę: 52 cent. w gorsie a 32 w pasie.
Fig. 40. Przód (H, I, O, P, Q, W, +, ·) 1 założenie
Fig. 41. Pierwszy boczek (H, I, K, L)
Fig. 42. Drugi boczek (K, L, M, N, *. :) — × — × — ×
Fig. 43. Połowa pleców (M, N, O, P, V, × 1 i · 1 do × 3 i · 3)
Fig. 44. Rękaw (Q, R, S, T, U)

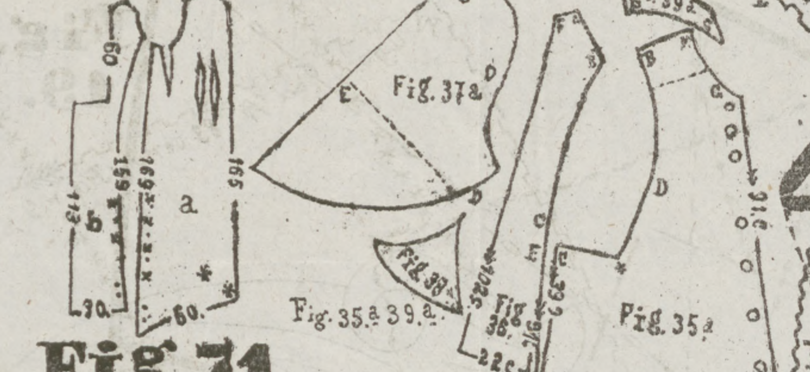


Fig. 71.

Fig. 45. Połowa mankieta (R, U)
Fig. 46. Kołnierz (V, W)
Fig. 40a—46a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 40—46.
Fig. 47. Wskazanie kroju panier (*, :, ·, +)

N. IX. Pelerynka. Rycina 33 i 34 w N-rze 40.
Fig. 48. Połowa pelerynki (Y, Z, · 4 i × 4 do · 7 i × 7) 1 zał.

N. X. Ubranie dla chłopca lat 5—7. Rycina 32 w N-rze 40 i rycina 2 w N-rze 41.
Fig. 49. Połowa majtek (a, b, c, d, e, f, g, *, :, × 8 i · 8)
Fig. 50. Połowa przedniej i tylnej części paska (f, g)
Fig. 51. Połowa stanika spodniego (h, i)
Fig. 52. Przód kurtki z odznaczeniem linją kamizelki (k, l, m, n, o, s, t, u)
Fig. 53. Połowa pleców (k, l, m, n, r, ·)
Fig. 54. Rękaw (o, p, q)
Fig. 55. Kołnierz (r, s)
Fig. 56. Kieszeń (t, u)

N. XI. Czepek dla piastunki. Rycina 37—39 w N-rze 41.
Fig. 57. Połowa denka (v, w *)
Fig. 58. Połowa paska (v, w)
Fig. 58a. Deseń haftu.

N. XII. Sukienka wycięta dla dziewczynki lat 2—4. Rycina 22—23 w N-rze 41.
Fig. 59. Połowa przodu (1, 2, 3, 4, 5, 6, *) = × = × = ×
Fig. 60. Połowa pleców (1, 2, 3, 4, :)
Fig. 61. Rękawek (5, 6)
Fig. 62. Połowa przodu sukienki (2, 7, 8, *)
Fig. 63. Połowa tylnego bryta (2, 7, 8, :)

N. XIII. Płaszczyk dla dziecka noszonego na ręku. Rycina 21 w N-rze 41.
Fig. 64. Połowa przodu i pleców płaszczyka (9, 10, 11, 13, 14, *)
Fig. 65. Połowa karczka (9, 10, 17, 18)
Fig. 66. Połowa rękawka (11, 12)
Fig. 67. Patka boczna (13, 14)
Fig. 68. Pelerynka (15, 16, 17, 18)
Fig. 69. Kołnierzyk (17, 18) — × — × — ×
Fig. 70. Wyszycie sutaszem.
Fig. 64a—69a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 64—69.

N. XIV. Vêtement do sukni ryc. 34 i 35 w N-rze 40.
Fig. 71. Wskazanie kroju połowy vêtement: podług kroju naturalnych rozmiarów załączonego pod Nr VIII.

N. XV. Draperya do sukni ryc. 10—11 w N. 40 i ryc. 9 w N. 41.
Fig. 72. Wskazanie kroju połowy draperyi.

Desenie do ryc. 7 i 8 w N-rze 40.
Fig. 73. Połowa kołnierzyka ryc. 7.
Fig. 74. Połowa mankieta ryc. 8.

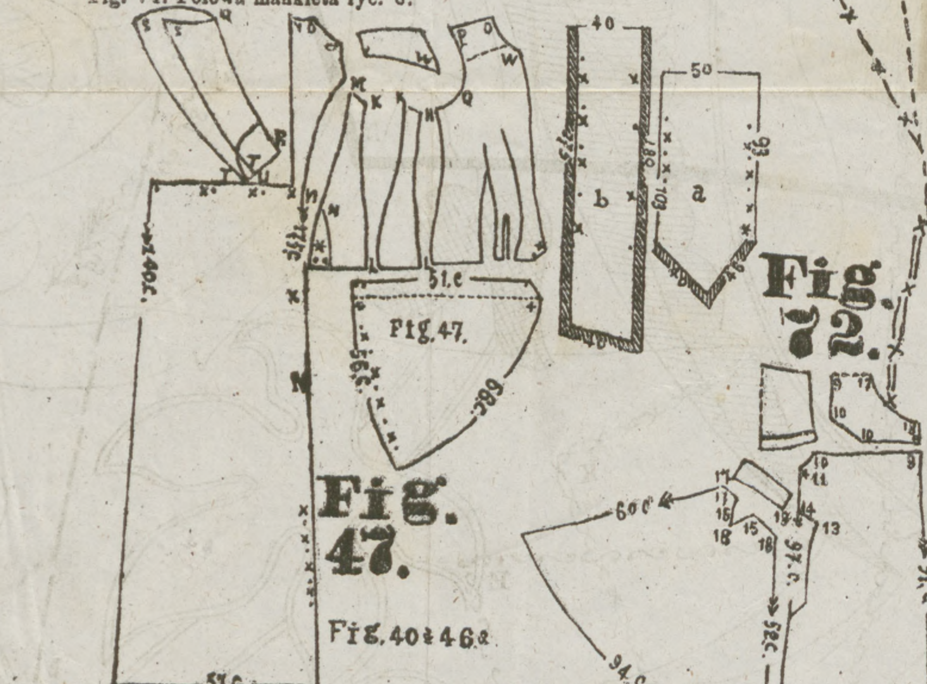


Fig. 72.

Fig. 47.

Fig. 40 a 46 a.

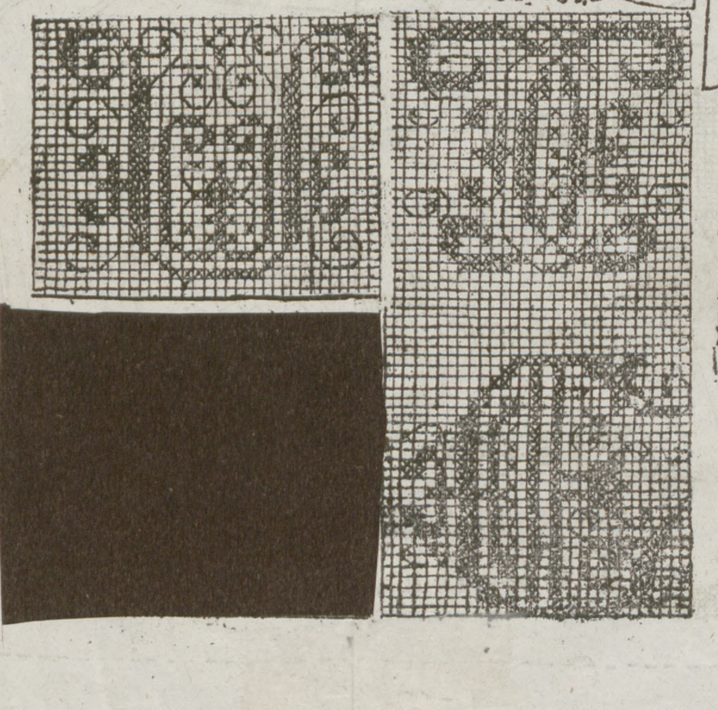


Fig. 64 a 69 a.

